NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIII. Kraków, 29 lipca 1916. Nr. 31.

Legiony w ostatnich walkach.



Opatrywanie rannych na pobojowisku I. Brygady. (Fot. Langier. C. B. W. — N. K. N.)

Legiony w ostatnich walkach.

Ostatnie walki na wschodnim froncie okryły znowu sławą Legiony polskie. Wszystkie trzy brygady z niesłychanem męstwem i sprawnością odpierały nacierającego w przeważających siłach wroga, a z jakiem bohaterstwem przytem walczyły, świadczą wymownie pochwały naczelnej komendy armii. O walkach tych pisaliśmy już poprzednio, podając zdjęcia z drugiej i trzeciej brygady Legionów. W dzisiejszym numerze zamieszczając fotografie z ostatnich walk pierwszej brygady, przytaczamy rozkaz brygadyera Piłsudskiego, rzucający wymowne światło na bohaterstwo i ogrom ofiar polskich żołnierzy. Rozkaz ten brzmi, jak następuje:

Żołnierze! Najcięższe z dotychczasowych naszych bojów przebyliśmy w dniach ostatnich. Ogień artyleryi, z nieznaną dotąd nam potęgą szalejący na naszych okopach, masowe ataki nieprzyjaciela, przebijanie się bagnetem przez piechotę wroga, masowe rownież szarże kawaleryi rosyjskiej — wreszcie odwrót w nadzwyczajnie ciężkich warunkach — oto cośmy przeszli w ciągu kilku dni. Pomimo krwawych i ciężkich ofiar, któreśmy złożyli, cofnęliśmy się z każdorazowej pozycyi jedynie wtedy, gdyśmy byli prawie otoczeni, schodziliśmy zawsze ostatni z pola, przeciwstawiając wszędzie na naszym froncie nowy opór przemocy.

Dumny jestem z zachowania się I. brygady w tych bojach pod K... chcę zaś wierzyć, że każdy z nas, jak to prawemu żołnierzowi przystoi, wyniósł z tych dni dużo doświadczenia i nauki, gdy tyle dla siebie nowych rzeczy widział, w tylu nowych formach boju brał udział. W kilka dni takiego boju rekrut staje się starym wiarusem, który ma co wspominać i czego uczyć drugich.

Najcięższe działanie bojowe spadło tym razem na pułk drugi mojej Brygady, pułk „zuchowatych“ Berbeckiego.

Tu nawała artyleryi była najcięższa, ataki najsilniejsze, a położenie na skrzydle najmniej pewne. Pułk stracił swego dowódcę ciężko rannym, obu komendantów batalionów zabitymi, połowa dowódców kompanii legła zabitych i rannych, więcej niż połowa oficerów i prawie połowa żołnierzy spłaciły krwią serdeczną dług Ojczyźnie i sławie wojska — i pomimo to pułk zmniejszony w składzie wyszedł, wyczerpany fizycznie, ale nie moralnie.

Boje pułku Berbeckiego i szóstego batalionu kap. Kukiela w dniach 4, 5 i 6 lipca, jeżeli pozostaną w mojej pamięci smutnymi z powodu ciężkich i bolesnych strat najlepszych kolegów broni, zaliczonymi jednak być muszą do najsławniejszych, jakie brygada przeżyła. Dzięki oficerom i żołnierzom za dzielną pracę i hart ducha.

Najboleśniejszą naszą stratą jest zabity major Wyrwa-Furgalski, który tyle sławy nam przysparzał, tylu żołnierzy wychował, a tylu upadających moralnie swym humorem i tężyzną podtrzymywał. Był jednym z najlepszych naszych oficerów.

Cześć jego pamięci!

Najsławniejszymi czynami w tych dniach są kontratak ósmej kompani pułku Berbeckiego na P... i G... i odparcie przez bataliony majora Fleszara (specyalnie szósty batalion kap. Kukiela) masowej szarży kawaleryi rosyjskiej.

Pierwszy prowadzony wieczorem 4 lipca przez podp. Myszkowskiego z nadzwyczajną brawurą i efektem uratował od zagłady pułk Berbeckiego, a przez odebranie zdobytej przez wroga na naszych sąsiadach z prawej strony, cofnął o cały dzień odejście ostateczne z pozycyi K... — W..., co uratowało oddziały na południe od nas.

Drugi — 6 lipca przeprowadzony przez piąty i specyalnie szósty batalion pod dowództwem majora Fleszara zatrzymał nieprzyjaciela w chwili nadzwyczajnie krytycznej, gdy wszystko naokół się cofało a na nasz front rzucono masy kawaleryi. Odparcie tych ataków i wyrzucenie z przedpola wdzierających się na nasze pozycye zlewa piechoty, dozwoliło spokojnie odejść całej brygadzie, nieledwie w półtorej godziny po rozpoczęciu odwrotu przez inne oddziały. Nieprzyjaciel długo nie ośmielił się potem nas ścigać. Znakomicie do tego przyczynił się major...





Legiony w ostatnich walkach: W czasie walki Piłsudczyków z nieprzyjacielem sanitaryusze opatrują rannych.
(Fot. Langier. C. B. W — N. K. N.)



Legiony w ostatnich walkach: Siedziba pierwszej brygady. (Fot. Langier. C. B. W. — N. K. N.)

Brzoza, kierując do ostatka ogniem bateryi prawie w samej lini tyralierskiej.

Dziękuję oficerom i żołnierzom pułku Berbeckiego i obu batalionom majora Fleszara za dzielną pracę i bohaterstwo w tych walkach.

Józef Piłsudski.

* * *

O walkach II. Brygady otrzymujemy następujące informacye:

Powiada żołnierz drugiej brygady, iż nie ma szczęścia do odpoczynku. Ofenzywa rosyjska tyle miesięcy zapowiadana musiała przerwać i nam wywczasy, które, gdyby nie ta okoliczność, byłyby trwały dłużej, tak iż żołnierz mógłby był w całem tego słowa znaczeniu wypocząć. Kilkudniowy ustawiczny huk armat, dobiegający do naszej spokojnej wsi, denerwował naszego żołnierza, który przyzwyczajony wsłuchiwać się w trzask szrapneli, lecz wybuchających nad naszemi głowami lub poza linią tyraliery czy okopu.

Więc wcześnie alarm i pozostawiliśmy kwatery bez żalu, chociaż rozgospodarowaliśmy się, ogródki wymierzając, grządki obsiewając. Wybudowaliśmy zagrodę dla pułkownika Januszajtisa, ze szeroką bramą wjazdową, z podsieniem na słupach sosnowych, jak za dobrych czasów.

I kiedy w kraju, na ustach wszystkich, jako w rocznicę pierwszą znajdowało się słowo „Rokitna“, nasz drugi pułk, zerwany z odpoczynku, ramię w ramię z Węgrami odpierał zaciekłe ataki rosyjskie. Przez dwie noce i trzy dni, w okienkach strzelnic przyczajeni, trwaliśmy, waląc salwami w potrójne lub poczwórne linie moskiewskie. Na miejsce tych, które padły lub zawisły na drutach, nadbiegali drudzy, gnani pietniami kozaków dońskich na pewną śmierć.

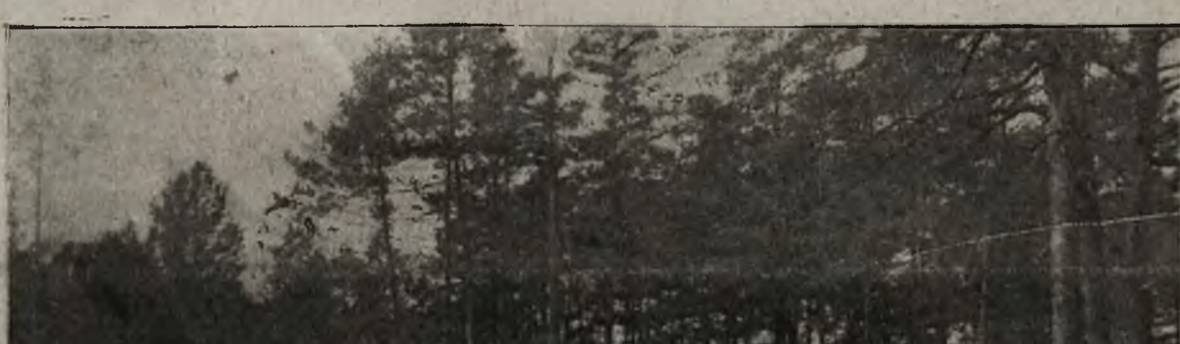


Legiony w ostatnich walkach: Kapliczka na cmentarzu polowym pierwszej brygady (Fot. Langier C B. W. — N. K. N.)

Cała ta walka była jednak dla nas zabawką, nawet te strzały armatnie, szrapnele i granaty, ciskane w niebywałej ilości, bo do dwóch tysięcy sztuk na godzinę i to na odcinek sześćdziesięciu metrów. Mieliśmy dwóch rannych w całym batalionie i to od kul karabinowych, których Moskale nie żałowali.



Legiony w ostatnich walkach: Patrol pierwszej brygady na wywiadach (Fot. Langier C B W. — N. K N.



Legiony w ostatnich walkach: W obozie pierwszej brygady (Fot. Langier. C. B. W. — N. K. N.

A kiedy uspokoiło się o tyle, iż głowę ponad okop wystawić było można, poszło dziesięciu, z dwóch kompanii. Małe zadanie. Przegnanie Moskali z naszych placówek, opuszczonych przed atakami. Odległość od okopu sześćset metrów w prostej linii, i to ścieżynką z okrąglaków, usuwających się pod stopami, zapadającemi w bagno. Poszło dziesięciu, ot tak, z pod jednej brzozy podchodząc pod drugą, z jednej kępy trawy skacząc pewnie i bez szelestu na drugą, poprzez nieznane pola minowe, pozakładane przez poprzednich gospodarzy, gdzie każdy ruch groził śmiercią. Patrzeliśmy z zapartym oddechem przez okna strzelnic. Tych kilka minut wiekiem się nam wydawało, aż podsunęli się na taką odległość, z której cel, wzięty na muszkę karabinu starego karpaciarza nie zawodzi, staje się pewnym. Runęła salwa jedna, druga, po paru minutach zamieniając się w piekielny rechot karabinów, jakby w walce całe kompanie brały udział i wzmogła się za chwil parę podsycona ogniem patrolu węgierskiego z lewej flanki. W parę minut ucichło i łącznik zameldował o odzyskaniu placówek, wzięciu jeńców.

Trzymaliśmy się mimo usłowań rosyjskich, celem odzyskania tych macek pod naszymi okopami.

Przeszły następne trzy dni spokojne, pod namiotami się spało, niejeden ładownice zdjął. a wypoczywał — ale — nie danem nam było wytchnąć należycie. O przedświcie poszliśmy przez G. do M. wsi. gdzie ku wesołości naszej zawagonowano nas na małe platformy wązkotorówki. Po godzinnej jeździe odwiedził niejeden grób ś. p. Sternschusa, którego tak mile wspominają żołnierze



Ze wschodniego frontu: W opuszczonym rowie strzeleckim

z naszej brygady, z czasów ich rekonwalescencyi w Jabłonkowie i Piotrkowie. Wreszcie ruszyliśmy pospiesznym marszem dalej piachami początkowo, a później błotem, ot tak po kolana.

Konie niosące karabiny maszynowe po brzuchy się zapadały, ale je wiara wyciągała i szła, bo jakże nie iść, jeśli na czele batalionu pułkownik, sam Januszajtis.

Jaki taki zaklął przy wyjmowaniu nóg z lepiej mazi czarnoziemu, aż przekleństwo po całej kompanii leciało. Szliśmy, chociaż długą była nasza droga, bez wypoczynku i wody źródlanej. — Dołem błoto i woda, a w plecy słońce prażyło gdyby ukropem, pasy plecaków wrzynały się w ramiona.

Nocą przyszliśmy na jakąś polanę i jak który stał padał na ziemię, by w parę minut chrapać snem sprawiedliwego, a spracowanego. Niektóry począł ognisko rozpalać, ale trzask pękających szrapneli nad lasem wybił niejednemu chęć rozgrzania się, zaś po północy deszcz lunął niemiłosierny, a wiatr zimny do kości się dostał.

Szary świt zastał nas już czuwających. O wpół do szóstej przyszedł rozkaz, nie znaliśmy jego treści, wyczuło się jednak sytuacyę. Byliśmy przecież rezerwą.

Padło słowo „kolumna" i na czele batalionu pułkownik Januszajtis wraz z adjutantem porucznikiem Gniadym i porucznikiem Smorawińskim, dzierżącym w zastępstwie komendę nad batalionem. — Dwieście, trzysta kroków — i — czwarta kompania w rezerwie!

A huk szrapnelowy i rechotanie karabinów maszynowych wzmogły się do niemożliwości. Nasze trzy kompanie przyszły w ostatniej decydującej chwili, Moskale byli w naszych okopach, przeszli już byli bagno, grożąc oskrzydleniem. Parę minut prawie walki wręcz i zaczęło się wypieranie. Nieprzyjaciel trafił na groźnego przeciwnika.

Szliśmy, ale jak nie iść, jeśli prowadzi sam pułkownik, jak młody orzeł, ze szlifami srebrnemi zdala błyszczącemi, w rozpiętym płaszczu. Oficerowie na przedzie kompanii i plutonów, wszystko składnie, jak na paradzie. Trwało to chwilę tylko, nasi dopadli, oskrzydlając teraz samych Moskali.

Porucznik Smorawiński ranny już w rękę, mimo to sięga po rosyjski karabin maszynowy, chcąc go obrócić ku Moskalom, w tejże chwili otrzymuje drugą poważną ranę w piersi, ranny podporucznik Serwaczyński w lewą rękę, porucznik Kruk (lekko), chorąży Cebulski, podporucznik Syndorek w usta, któremu miłościwa jednak kula tylko zęby wybiła, szarpiąc policzek. Prą nasze trzy kompanie, ale gdzieś lewe skrzydło się załamało i pchnięto czwartą kompanię, pod doświadczoną ręką porucznika Mozdyniewicza.

Trwają nasi. Starej karpackiej brygady kwiat, pierwszy batalion (bo o nim tylko piszę!) który wszędzie pierwszy wkraczał, ulubieniec pułkownika Zielińskiego, oko w głowie pułkownika Januszajtisa. Sieją nad nami karabiny maszynowe. ale co raz zdobyte, z rąk naszych nie wychodzi. Trzy karabiny maszynowe rosyjskie i około 400 jeńców z oficerami.

Czy pisać, jak jedno po drugiem następowało, zimno, sumarycznie? Chyba za wcześnie. Czy pisać, iż chyba gdzieś w napoleońskich czasach pułkownik prowadził batalion do szturmu, tak długo, dopóki sam z raną w nodze z pola bitwy wycofać się nie musiał.

Czy pisać, jak chorąży Marek, widząc przyjaciela chorążego Mierzwińskiego rannego, podniósł go, zarzucił na plecy i niósł w ogniu karabinu maszynowego, dopóki i jego samego kula z nóg nie zwaliła...

Taką była walka jednego dnia, 20 czerwca.

A. G.



Legiony w ostatnich walkach: Utarczka patrolu pierwszej brygady w lesie (Fot. Langier C. B W. — N. K. N.)



Wojna w Polsce: Kościół w Zdrochcu koło Radłowa, zbombardowany w walkach nad Dunajcem.

ADAM WIARYGA MINIESKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

16

— Kaziu, jesteś nieuleczalnie naiwny. To chroniczna twoja choroba. Nie chce mi się nad tem długo rozwodzić, więc powiem ci krótko: nie zdradzaj się, kim jesteś. Jestem pewny, że gdybyś wystąpił, jako pretendent do ręki panny Zurakowskiej, ciotka jej z tych lub owych powodów zajmie znowu swoje nieprzejednane stanowisko i prawdopodobnie wywiezie siostrzenicę.

— Ależ ja muszę porozumieć się z Anielką! — wykrzyknął Kazimierz.

— A gdybyś tak przez czas jakiś zachował „incognito" nawet przed nią?

— To niepodobna! W jakim celu?! Co ci w głowie Jaśku! Ja miałbym nie zawiadomić Anielki...

— Posłuchajże więc, co ci powiem.

Krzycki krótko i zwięźle opowiedział o tem, jak wyczytał w dzienniku ogłoszenie Montwiłła i napisał list pod wskazanym adresem — jak następnie po odbiór pamiątek zgłosił się ów Montwiłł, młodzieniec niezwykle piękny i sympatyczny, wszelako nie żaden krewny, ani nawet dawny znajomy Anielki.

To właśnie powstrzymywało jego, Krzyckiego od zawarcia osobistej znajomości z panną Żurakowską.

Opowiadał dalej, że często spotykał Anielkę w towarzystwie Montwiłła. Zdawali się oni być bardzo zajęci sobą, a Montwiłł zachowywał się wyraźnie, jak człowiek zakochany.

Coraz głośniej mówiono już o tem w polskich kołach towarzyskich, że Montwiłł ma wkrótce zaręczyć się z panną Zurakowską, że panna się zgadza, a ciotka jest wielce przychylna temu związkowi.

Krzycki opowiadając to wszystko w jak najlepszej wierze, nie zdawał sobie z tego sprawy, że po części był inspirowany przez Stasię, która w zazdrości swojej umiała zręcznie przedstawiać szczegóły, które mogły przemawiać na niekorzyść Anielki.

Kazimierz słuchał blady jak płótno, dysząc ciężko.

— Nie, to nieprawda — wyrzekł zduszonym głosem — Anielka nie mogła zapomnieć mnie tak prędko. Ona mnie naprawdę kochała...

— Opowiedziałem ci, co wiem. Sądź i wysnuwaj wnioski sam.

— Ja muszę porozumieć się z Anielką, muszę się dowiedzieć, co w tem właściwie jest!...

— Czy nie byłoby lepiej, gdybyś się zdobył przez jakiś czas na siłę woli i pozwolił wypadkom swobodnie się rozwijać?

— Nie! To nad moje siły! Taka niepewność, to męka zbyt wielka! Chcę wiedzieć! Ja znam Anielkę, ona kłamać nie będzie! Jeżeli to prawda, jeżeli ona pokochała innego, który, jak mówisz jest piękny i sympatyczny, to powie mi to szczerze i otwarcie... W takiem zawieszeniu żyć nie chcę, nie mogę!

— Nie zdradźże się przynajmniej przed tą ciotką!

— Dobrze! Ale do Anielki napiszę! Zaraz, już, Jaśku, podaj mi papier i ołówek!

— Pod jakim adresem wyślesz ten list?

— Pod żadnym, nie wyślę go pocztą. Ty musisz mi oddać tę przysługę i wręczyć go jej.

— Ha! jeżeli tak chcesz koniecznie, to niechże będzie... Może i masz słuszność, niech się wszystko odrazu rozstrzygnie.

Kazimierz ujął zdrową ręką ołówek i próbował pisać, ale palce odmawiały mu posłuszeństwa.

— Nie mogę — rzekł z westchnieniem — Jaśku, proszę cię — pisz, będę dyktował.

Krzycki posłuszny życzeniu Kazimierza zaczął pisać, a Walczak dyktował:

„Anielko!

Żyję, jestem ranny i leżę tutaj w Pradze w szpitalu"...

— — — — — — — — — — — — — — —

Krzycki opowiedział narzeczonej i jej siostrze swoją rozmowę z Walczakiem i pokazał im list.

Stasi płonęły oczy, kiedy słuchała.

— Dobrze jej tak, tej kokietce — syknęła przez zaciśnięte zęby — Niby tak strasznie kochała tego narzeczonego, a teraz... Hipokrytka!

Hanka zamyśliła się.

— Wiesz, Jaśku — rzekła swoim łagodnym, spokojnym głosem — obawiam się, czy nie działałeś trochę przedwcześnie i nie zaalarmowałeś niepotrzebnie Walczaka... Bo, że Anielka lubi Montwiłła i przebywa często w jego towarzystwie, to jeszcze żaden dowód, by miała zapomnieć o Kazimierzu... Mnie się zdaje, że w tych gadaninach ludzkich o Montwille, to jest dużo przesady... Niedawno zapytałam Anielkę wprost czy to prawda, że ona ma zaręczyć się z Montwiłłem... Popatrzyła na mnie, jak na waryatkę, zdumionym i przerażonym wzrokiem, a potem rozpłakała się...

— U niej zawsze łzy na pogotowiu — wtrąciła gniewnie nieubłagana Stasia — A ja ci mówię, że ona go kokietowała i jeszcze jak kokietowała! Może ona i nie chce wcale zaręczyć się z nim, ale ciągnie go ku sobie... Zerwanówna opowiadała mi, że widziała...

— Ach! Stasiu — przerwała siostrze z niesmakiem Hanka — któżby się znowu kierował zdaniem Zerwanówny... To znana plotkarka.

— Naturalnie, ty nikomu nie wierzysz, tylko tej słodkiej, anielskiej Anielce!

Krzycki bystro popatrzył na swoją przyszłą szwagierkę.

— Ejże, Stasiu! — rzekł — Czy przypadkiem piękny Montwiłł nie zawrócił ci w głowie i stąd to twoje uprzedzenie do panny Żurakowskiej?

Stasię oblała ponsowa fala krwi.

— Nie powiem ani słowa więcej — rzekła, odwracając się plecami do Krzyckiego i siostry.

— Cóż będzie z tym listem Walczaka? — zapytał Krzycki, zwracając się do Hanki — ja nie znam panny Zurakowskiej.

— Oddam ten list Anielce — odparła Hanka.

Stasia odwróciła się żywo i wyciągnęła rękę po list.

— Nie! To ja jej oddam ten list — zawołała — posądzacie mnie o uprzedzenia, o niechęć do niej, otóż chcę wam pokazać, że się mylicie i sama dam Anielce ten list, który przecież zdaniem waszem powinien jej wielką sprawić radość.

— Ależ dobrze, Stasiu, oddaj, jeżeli chcesz — rzekła Hanka, podając siostrze list Walczaka.

ROZDZIAŁ XIX.

Pani Krystyna chodzi po pokoju szybkim, nerwowym krokiem... Ręka jej szarpie jakieś delikatne aplikacye u sukni...

W pokoju panuje półmrok...

Pani Krystyna nie była zwolenniczką melancholijnej „szarej godziny" i wcześnie zapalała światło... Dzisiaj jednak zapomniała o tem.

Myśl jej starała się zbadać, dociec, dlaczego Walczak zachował się dzisiaj tak jakoś dziwnie, tak zupełnie inaczej niż zwykle...

Nie zdawało się jej przecież, nie! Zmiana była wyraźna...

Chorąży przerywał jej ustawicznie czytanie pytaniami, nie pozostającemi w żadnym związku z treścią czytanej książki... Pytał ją, jak dawno przebywa w Pradze, jak się tutaj urządziła — czy i kiedy ma zamiar powrócić do swego majątku i o tym podobne rzeczy.

Skąd to nagłe zainteresowanie jej prywatnem, domowem życiem...

A oczy mu tak przy tem dziwnie błyszczały i głos jakby drżał i spoglądał na nią inaczej, stanowczo inaczej...

Coś mu się stało... Chwilami zdawało się, że chce coś powiedzieć więcej, a tylko tłumi to w sobie...

Czyżby?...

— Nie! nie! Szalona jestem! — powtarza sobie pani Krystyna, ściskając rękami skronie — To nie podobna, taki młody człowiek!...

A jednak gdyby...

Wszak w pani Zagórskiej zakochał się tak szalenie dwudziestokilkoletni guwerner jej syna, że miłość ta popchnęła go do samobójstwa.

Wszak pani Kotwiczowa wyszła za mąż za młodszego od niej o lat kilkanaście dalekiego kuzynka swego, którego poprzednio wszyscy uważali za konkurenta do ręki jej córki.

Rozpalona, podniecona wyobraźnia podszeptuje inne jeszcze przykłady i z życia i z przeczytanych powieści.

Rozsądek wprawdzie dorzuca swoje, ale pani Krystyna nie ma w tej chwili ochoty słuchać głosu rozsądku.

Różowa pajęcza tkanka marzeń zaczyna oplatać jej myśli.

A gdyby... gdyby...

W przedpokoju rozległ się dzwonek, a potem hałas otwieranych drzwi.

To pewnie Anielka.

Pani Krystyna chciała wyjść z pokoju, pragnęła teraz być samą. Ale Anielka stała już na progu.

— Dobry wieczór, cioteczce! Nie zapala ciocia światła? Przecież to już prawie zupełnie ciemno.

Anielka przekręciła guzik kontaktu elektrycznego, jasne, białe światło zalało pokój.

Pani Krystyna zamrugała nerwowo powiekami.

— Ach! Anielko, jakaś ty nieuważna! Jak można tak bez przygotowania nagle zapalać światło elektryczne!

— A jakież przygotowania przedtem można robić? — zdziwiła się Anielka — Przepraszam, nie wiedziałam, że ciocia taka nerwowa...

Pani Krystyna pominęła te słowa milczeniem, czuła bowiem sama, że odezwała się niezupełnie do rzeczy.

Chcąc skierować rozmowę na jakiś obojętny temat, zapytała:

— Byłaś na spacerze?

— Tak, byłam z panią Winnicką i Józią Maliniewiczówną w ogrodach Havlička. Ale co to taki spacer miejski w lecie. Zanim doszłyśmy do parku, zmęczyłyśmy się straszliwie. Upał był nieznośny, powietrze duszne, pełne sadzy. Wspominałam sobie, jak to teraz Zalesinki wyglądać muszą... Lipy kwitną i żniwa się już niedługo rozpoczną.

Słowo: „Zalesinki" przypomniało pani Krystynie, że ma przygotować jeszcze pewne papiery i pieniądze dla swojego nowego rządcy, który powinien w najbliższych dniach pojechać do Zalesinek.

Wypłaciła mu już pensyę za miesiąc z góry, dała na koszta podróży i pierwsze wydatki, ale „rządca" żądał większej sumy, aby mógł poczynić odpowiednie „wkłady" w zniszczonym prawdopodobnie majątku.

Uzasadniał swoje żądanie szeroko, nie spotykając się z żadną zresztą opozycyą, bo pani Wolska gospodarstwem nie zajmowała się dotychczas i nie znała się na niem wcale.

Żądanej sumy nie miała jednakowoż w domu, musiała dopiero podnieść ją z banku.

— Muszę jutro iść do banku... — zaczęła pani Krystyna, nie dokończyła wszakże, bo drzwi otwarły się z trzaskiem i do pokoju wpadła z impetem Wikcia.

Dziewczyna zanosiła się od histerycznego płaczu.

— Wikciu! — zawołała zdumiona pani Wolska.

Wikcia łkała wciąż spazmatycznie.

— Kiedy tak, to tak! — wykrzyknęła wreszcie — Jak oni mnie, tak ja im! To przedtem byłam „kochaną Wikcią", „dobrą Wikcią", a dzisiaj to mnie znać nie chcą... Ignac se kurzy teraz cygara po cztery szóstki i chodzi z tą czarną Mańką z piwiarni! To taka odpłata za moje dobro!

— Czyś ty zwaryowała?! Co ty pleciesz?!

— Ja pani wszystko powiem, niech co chce będzie, powiem! To on do mnie teraz: „ja panny nie znam, odczep się panna odemnie". To on sobie tak niby rachuje, że ma mnie w ręku, bo ja się będę bała powiedzieć, ale ja go nauczę, ja pani powiem: Ten rządca, co go pani zgodziła, to wcale nie żaden rządca, on nawet na wsi nigdy nie był. To jest mój „kawalir" Ignac, co był we Lwowie za kelnera „pod Zieloną Fujarką."

— Czy ty źle masz w głowie, dziewczyno? Tego rządcę polecił mi pan Koncewicz!

— No, no! Ciekawych rzeczy się dowiadujemy! — wtrąciła spokojnie Anielka, która z wielkiem zainteresowaniem słuchała bezładnych zwierzeń Wikci.

— Bo pan Koncewicz jest głupi, nic nie wie! — krzyczała dalej Wikcia — To Potyrowski kazał mu polecić Ignaca! A ten Potyrowski, proszę pani, to się wcale nie nazywa Potyrowski i on nie jest żaden hrabia, ani żaden „jenżynier", ani żaden Alfred, ani żaden Jerzy, tylko się nazywa poprostu Potyra, a czem się zajmował, tego to już i ja nie wiem! Oni z Ignacem są kamraty i zmówili się, żeby Ignaca wepchać na tego „rządcego" i wyciągnąć od pani dużo pieniędzy, i w długi panią wpakować, a potem majątek sprzedać jakiemu żydowi czy komu!...

Pani Krystyna oniemiała, zmartwiała z przerażenia. Nie mogła słowa wydobyć ze siebie. Słuchała i uszom własnym wierzyć nie chciała.

Anielkę przebiegł również dreszcz zgrozy na myśl o niebezpieczeństwie, jakie groziło ukochanym Zalesinkom. Żal jej było ciotki, ale pomimo tego miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Znajdowała, że ta cała historya ma swoją komiczną stronę, jakby z jakiegoś wielce nieprawdopodobnego libretta operetkowego wyjęta.

— To niech pani wie, jak jest — kończyła Wikcia — niech pani tego gałgana przepędzi!... O! Przyjdzie jeszcze koza do woza!... To przedtem obiecywał, że mnie zabierze ze sobą, że mi kapelusz kupi, „kostyjum" i „szewrowe" buciki, a teraz jak poczuł pieniądze w kieszeni, to ja mu niedość dobra!...

— Dosyć już tego, Wikciu — przerwała ostrym tonem Anielka — i dlaczegóż to Wikcia nie powiedziała nam o tem wszystkiem trochę wcześniej? A kto to informował tak dokładnie tego pana Potyrowskiego, czy Potyrę i jego przyjaciela Ignaca o tem, co się u nas w domu dzieje?

— To... to... proszę panienki... — zaczęła jąkać niewyraźnie Wikcia, spuszczając oczy.

— Dobrze, już wiem, kto to robił i jaką rolę grała Wikcia w naszym domu. Dostanie Wikcia pensyę za miesiąc, ale proszę zaraz spakować swoje rzeczy i dzisiaj jeszcze pójść sobie. Radzę to zrobić spokojnie, bez awantur, to będzie daleko lepiej dla Wikci. Wszak ciocia nie ma nic przeciw temu mojemu zarządzeniu? — zwróciła się Anielka do ciotki.

— Rób, moje dziecko, co uważasz za stosowne, ja nie wiem, co się ze mną dzieje! — jęknęła pani Krystyna zupełnie zbita z tropu, ogłuszona tą niespodzianką.

Wikcia chwilę stała ze spuszczonemi oczyma, ale potem podniosła głowę, otarła łzy i machnęła lekceważąco ręką.

— A niech tam! Najgorsze już przebyłam! Teraz się „ewakacya" skończyła, to i ja wrócę, jeszcze mnie odwiozą z wielką paradą i zadarmo! A co Ignacowi pójdzie po nosie, to pójdzie! Wróci on jeszcze do mnie, ten hycel jeden!

I Wikcia wyszła z pokoju zupełnie zadowolona ze swojej zemsty.

— No i co ciocia na to? — zagadnęła Anielka — ładnie wyglądałybyśmy, gdyby nie szczęśliwy przypadek, że ten jakiś Ignac zgłupiał, kiedy poczuł w ręku pieniądze i naraził sobie tę dziewczynę! Może tym łotrom nie udałoby się wykonać ich planu w całości, ale w każdym razie byłoby wiele strat i kłopotów.

— O, ja nie przebaczę tego Koncewiczowi! — szepnęła pani Krystyna, osuwając się na fotel, jakby zemdleć miała.

— Ależ, cielciu, Koncewicz właściwie nic nie winien temu, chyba tylko tyle, że głupi... No w przyszłości to już ciocia chyba będzie ostrożniejsza w wyborze rządcy.

— Ach! Prawda teraz trzeba znowu szukać rządcy i nowej służącej! Tyle kłopotów, tyle przykrości! Ach, Boże! Jakże ciężko jest radzić sobie samej kobiecie! Anielko, proszę cię daj mi dzisiaj spokój!... Głowa mnie boli...

— — — — — — — — — — — — —

— Spotkałem ciocię, zdążającą do szpitala... Przysłała mnie tutaj po panią! — rzekł Montwiłł do otwierającej mu drzwi Anielki — Ciocia poleciła mi, abym panią wyciągnął na jakiś spacer albo wycieczkę, bo pani bardzo zmizerniała...

— To znaczy, że przyszedł pan tutaj pod przymusem rozkazu cioci! — uśmiechnęła się Anielka — Ale to nic nie szkodzi, proszę niech pan pozwoli dalej.

— Wiedziałem, że pani umie być niekiedy złośliwą, ale nie przypuszczałem, aby pani umiała tak przekręcać ludzkie myśli i zamiary.

Roześmiali się oboje.

— Schowam jednak urazę na dnie serca — mówił dalej Montwiłł — a tymczasem wyłuszczę pani mój plan, jak spędzić dzisiejsze popołudnie.

— Istotnie ciekawa jestem, co też pan wymyślił na tak upalny dzień, jak dzisiejszy. Słucham. A zanim pan jednak zacznie mówić, proszę usiąść.

Montwiłł usiadł na miękkim foteliku, ustawionym wśród grupy palm i innych roślin doniczkowych.

— Czy pozwoli pani zapalić papierosa?

— Ej! Panie Stanisławie, cóż to znowu za chińskie ceremonie?! Chyba pan mnie chce irytować! Dym nie szkodzi mi wcale, mówiłam już panu nieraz, więc pocóż to niepotrzebne pytanie?

— Nie chcąc pani dłużej irytować, już zapaliłem papierosa. A teraz powracam do mojego planu. Pogoda dzisiaj pewna, więc chciałem pani zaproponować, abyśmy się wybrali na wycieczkę po Wełtawie statkiem parowym czyli tak zwanym po czesku „parnikiem".

— O! za to panu ślicznie dziękuję! Nie rozumiem, jak ludzie mogą to nazwać przyjemnością, wycieczką! Tłoczyć się na zapchanym „parniku", słusznie tak zwanym, bo się człowiek tam poci, jak w łaźni parowej, wdychać duszne rozpalone powietrze, przesycone pyłem węglowym i dymem kominów fabrycznych, podziwiać po drodze kąpiących się Czechów i Czeszki, aby wreszcie zawitać do Branika lub Chuchel, gdzie jest dużo kamieni, dużo piasku, trochę suchotniczej trawy i ogromnie wiele stolików, ustawionych wśród kilkunastu imitacyi drzew, szarych od przydrożnego pyłu. To się nazywa „pivarná v Zahradé", pije się tam piwo i tam rzempoli na jakichś rozstrojonych instrumentach orkiestra...

— Panno Anielko! Na litość! Cóż to za surowy krytyk z pani!

— Niech pan pozwoli dokończyć mego opisu „wycieczki". Więc będziemy w Braniku pili „branickie" piwo, a w Chuchlach dla odmiany chuchelskie czy jakieś inne, zapłacimy za nie dwa razy tyle, ile w Pradze, a potem pójdziemy na spacer z całą gromadą wycieczkowiczów, napijemy się wody sodowej i kupimy sobie pierników. Aha! prawda spacer urozmaicać nam będzie kilkanaście katarynek wygrywających nieśmiertelne: Ah! pro radi Krista Pana ja sem dněska oženil!...

— Możemy pojechać trochę dalej, na przykład do Zawistu. Nie byłem tam jeszcze, ale słyszałem, że okolica ładna, lesista...

— Nie, panie Stanisławie! I tam będą ci krzykliwi wycieczkowicze i tam napewno będzie piwiarnia w ogródku z muzyką! Raz mnie namówili na taką wycieczkę do Branika, ale już teraz nie dam się skusić. Takie kilkogodzinne wycieczki zamiejskie nie mają najmniejszego sensu i dobre są dla tych, którzy nie mają pojęcia o tem, co to jest przyroda i jak wygląda właściwie wieś... Co innego, gdyby można pojechać na dłuższy czas i zwiedzić co i poznać coś istotnie ładnego, ale tak...

Toż to ironia poprostu takie wycieczki, kiedy mnie się nasuwa ustawicznie porównanie z naszemi ślicznemi Zalesinkami...

— Pani chciałaby powrócić na wieś?! — zapytał nagle strwożonym głosem Montwiłł.

— Och! leciałabym tam w tej chwili, choćby piechotą... — odparła Anielka, nie zwracając uwagi na intonacyę jego głosu — Nie rozumiem doprawdy, dlaczego ciocia upiera się, aby jeszcze w Pradze pozostać...

— Naturalnie! Dąży pani tam, gdzie dla pani lepiej, bez względu na to, że tutaj zostaną tacy, którym będzie bez pani źle, bardzo źle... Cóż to jednak panią obchodzić może?

W słowach tych zabrzmiała nietajona już zupełnie gorycz.

Po raz pierwszy Montwiłł przemówił tak otwarcie, po raz pierwszy zdradził się tak wyraźnie ze swą miłością.

Anielka zadrżała. Poczuła, że w powietrzu zawisło ostateczne wyznanie i przelękła się.

Tylko nie to! Taka rozmowa z Montwiłłem była ponad jej siły.

Spryt kobiecy podszepnął jej, aby przerwać to zdradliwe sam na sam w ciszy leniwego, upalnego popołudnia letniego.

— Wie pan, panie Stanisławie — zaczęła Anielka pospiesznie, jakby nie słyszała ostatnich słów mło dzieńca — aby nie utracić w zupełności pańskiego planu, zdecydowałam się jednak na małą wycieczkę, tylko pieszą i w innym nieco kierunku. Pójdziemy na Wyszehrad, na cmentarz Wyszehradzki... Tam przynajmniej jest spokój, cisza, zieleń, i można podziwiać prześliczne grobowce... Odwiedzimy grób Zeyera. Zgadza się pan, czy dobrze?

— Oczywiście, pójdziemy, gdzie pani sobie życzy.

— Poczeka pan więc kilka minut — włożę ka pelusz i przebiorę się trochę.

Anielka ubrała się prędko. Wyszli z domu, kierując się ku wybrzeżu Riegra, które wrzało świątecznym ruchem popołudniowym.

Tak jak przewidywała Anielka, u przystani oczekiwały tłumy na odjazd małych statków parowych, zdążających do mniej lub więcej odległych od Pragi miejscowości na pobrzeżu Wełtawy.

Anielka robiła jakieś błahe uwagi o ludziach, o pogodzie, o mieście, aby tylko utrzymać rozmowę w tonie ogólnym, obojętnym.

Ale jakoś nie kleiła się ta rozmowa... Montwiłł wbrew zwyczajowi swemu, był małomówny. Staczał on walkę ze sobą. Niecierpliwa miłość popychała go, aby raz wreszcie rozmówić się otwarcie z Anielką, rozwaga zaś nakazywała mu czekać jeszcze.

Anielka, jakby przeczuwając te jego myśli, mówiła i mówiła, usiłując wytworzyć swobodną atmo sferę i snuć lekką powierzchowną rozmowę towarzyską.

Przeszli wybrzeżem wzdłuż Wełtawy i po niezliczonej ilości schodów zaczęli wstępować w górę ku Wyszehradowi.

Nie szli sami... Większe lub mniejsze grupki zwiedzających dążyły na ów praski Campo Santo, na cmentarz czeskich poetów, myślicieli, artystów.

Cmentarz wyszehradzki, przylegający do ślicznie położonego, okolonego wielkim ogrodem klastoru — dyszał ciszą, spokojem i białością swoich marmurowych grobowców.

Ktoby jednak chciał szukać samotności, zawiódłby się przynajmniej tego dnia.

Zaraz za bramą Montwiłł ukłonił się jakiemuś liczniejszemu towarzystwu, a Anielka również zamieniła ukłon z kilkoma osobami.

Gromadka nauczycieli i nauczycielek polskich, złożona z przeszło dwudziestu osób, zwiedzała cmentarz.

Wśród mężczyzn przeważali ludzie starsi, poważni, siwiejący już, ale kobiet było kilka młodych i ładnych.

Prym między niemi wiodła Stasia Staszyńska, bardzo ładna, zgrabna i świeża w białym płóciennym „éponge" kostyumie i fantazyjnym kapelusiku, ubranym polnemi kwiatami.

Jeden z nauczycieli, wdowiec z dwojgiem dzieci, nie tail się wcale z zachwytem, jaki w nim wzbudza panna Staszyńska.

Stasia żartami zbywała komplementy wdowca, nie zrażając go jednak zbytnio.

Te sześć lat, które liczyła ponad dwadzieścia i gorzkie rozczarowanie z Montwiłłem, przypomniały wesołej pannie, że jednak konkurentów lekceważyć nie należy.

Wdowiec-nauczyciel pomimo swoich lat przeszło czterdziestu był mężczyzną przystojnym i miłym, miał dobrą posadę, więc ostatecznie może...

Kiedy jednak Stasia zobaczyła wchodzącą parę, urwała nagle rozmowę. Gorycz zawodu, ból odtrąconego uczucia zapiekły ją znowu w sercu.

Błyszczącemi oczyma zmierzyła Anielkę i Montwiłła. Ręka jej ścisnęła mocniej ręczną torebkę, w której od kilku dni nosiła list Walczaka.

Za chwilę postanowienie jej było gotowe.

Tak, teraz odda ten list Anielce! Przy nim! Ciekawa rzecz, jakie oni miny zrobią, co powie ta niby rozpaczająca za narzeczonym Anielka.

Przeprosiła swoje towarzystwo i śmiałym, pewnym krokiem podeszła do Anielki.

Anielka, widząc jej dziwnie błyszczące oczy i drwiącą minę, uczuła jakiś nieokreślony przestrach.

— Przepraszam — wycedziła nieco przez zęby, tak jak to czyniła zwykle, kiedy była zdenerwowana — że przerywam państwu sam na sam i miłą zapewne rozmowę, ale mam interes do Anielki.

— Ależ, proszę cię, Stasiu!

Stasia wyjęła z torebki list.

— Proszono mnie, aby ci wręczyć ten list!

— List?... Do mnie? Od kogo?

— Przypuszczam, że cię ten list zainteresuje, bo to list od... twego narzeczonego...

Anielka zbladła. Oczy jej naprzód zapłonęły gniewem na niewczesny, jak mniemała, żart Stasi, ale po chwili złagodniały i zasnuły się mgłą smutku.

— Stasiu, Stasiu — powiedziała głosem, w którym drgały łzy — jak możesz w ten sposób żartować ze mnie?!

— Ależ ja wcale nie żartuję!... Co do rzekomej śmierci pana Kazimierza zaszła pomyłka... To się często na wojnie zdarza. On żyje, jest ranny i przebywa tutaj w Pradze w szpitalu!...

— Co?! Co ty mówisz?! Stasiu, to niepodobna, żebyś ty ze mnie drwiła tak okrutnie!

— To najszczersza prawda! Dowodem tego ten list! Masz, czytaj!

Anielka drżącą ręką porwała list i rozerwała kopertę.

— On, doprawdy on! Żyje!

Czy to czasem nie cudny, zwodniczy sen, z którego obudzi się za chwilę do strasznej rzeczywistości?

Wszak tyle razy śniło się jej, że Kazimierz żyje.

I znowu czyta, odczytuje te słowa, świadczące, że los rzuca niekiedy ludziom łaskawe uśmiechy i szczęsne niespodzianki.

Żyje! naprawdę żyje!

— Kazio żyje! Zobaczę go!

Wielkie, jasne, gorące łzy zaczynają płynąć po twarzy Anielki... Łzy szczęścia, któremu sama jeszcze nie dowierza.

— Stasiu! Stasiu! Jakaś ty dobra, kochana!

Anielka rzuca się Stasi na szyję, nie zwracając na to uwagi, że zwiedzający cmentarz wycieczkowicze śledzą tę niezwykłą scenę ciekawem spojrzeniem.

A w Stasi budzą się wyrzuty sumienia. Wszak od kilku dni nosiła ten list przy sobie, mogła go oddać Anielce wcześniej, a nie oddała.

Zrozumiała, że myliła się w swych podejrzeniach i ogarnął ją wstyd, palący wstyd przed samą sobą, a jednocześnie zbudziła się nagła sympatya do Anielki i chęć nagrodzenia krzywdy, którą jej w myślach czyniła.

— Stasiu — mówi znowu Anielka, spoglądając na list jaśniejącemi jak szafirowe gwiazdy oczyma — Kazio pisze, abym się zobaczyła z przyjacielem jego panem Krzyckim. Czy nie wiesz, gdzie mogłabym spotkać tego pana Krzyckiego?

— Ależ naturalnie, że wiem! Porucznik Krzycki jest przecież narzeczonym Hanki. Ty może nie wiesz o tem, że Hanka wychodzi za mąż?

— Hanka wychodzi za mąż?! Nie, nic nie wiedziałam.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kolonia polska na cmentarzu w Dreźnie i jej opiekun.

Żył do niedawna w Dreźnie Polak, całą duszą oddany Ojczyźnie, ś. p. Franciszek Komendziński. Żył nadzieją, iż doczeka się lepszego jutra kraju i narodu, ku któremu biły wszystkie tętna jego zacnego serca mimo kilkodziesięcioletniego pobytu na obczyźnie, gdzie sobie stworzył warsztat pracy i gdzie był przewodnikiem i opiekunem tamtejszych mniej zamożnych rodaków. Nie doczekał się niestety ziszczenia swych wierzeń i nadziei, odszedł z tego świata właśnie czasu wielkiej wojny światowej, z której ma się wyłonić zmieniony kształt Europy i nowe dla nas powstać warunki bytu.

Urodzony w wielkopolskiem mieście Śremie, jako młody rzemieślnik udał się, jak to było wówczas w zwyczaju, na wędrówkę i zatrzymał się w Dreźnie, gdzie wtedy rozwinął się na wielką skalę, dominujący do dziś w Niemczech, przemysł papierosowy. Pracował w fabrykach papierosów, między innemi nierem tej gałęzi przemysłu polskiego w zaborze pruskim i nazwisko jego z jego rozwojem wiecznie będzie związane.

Ale nie był on tylko dzielnym przemysłowcem. Od chwili, gdy stanął na gruncie drezdeńskim, zbliżył się jeszcze jako skromny pracownik fabryczny do tamtejszej, wówczas jeszcze bardzo licznej kolonii polskiej, w której żyło dużo niedobitków emigracyi z roku 1831 i nader liczni emigranci, ofiary nieszczęsnego roku 1863. Miał szczęście zbliżyć się do mieszkającego w Dreźnie ojca powieści polskiej, Józefa Ignacego Kraszewskiego, do hr. Wawrzyńca Benzelstjerna-Engeströma, póniejszego sekretarza jeneralnego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu i byłego członka rządu narodowego Franciszka Dobrowolskiego, późniejszego długoletniego redaktora „Dziennika Poznańskiego“, który przez lat dwadzieścia pięć rządził prawie niepodzielnie sprawami polskiemi w Księstwie. Ci mężowie poznali się na zdolnościach i moralnej wartości młodego przemysłowca i przyjęli go do współpracy w kolonii polskiej. Od na zabranym z Warszawy, zdobytym pod Wiedniem przez Sobieskiego namiocie wielkiego wezyra Kara Mustafy usunięto napis, że to jest zdobycz naszego króla Jana. Dawniej był tutaj ten napis, dobrze go pamiętam.“ Zmiana usposobienia ludności Saksonii, a przedewszystkiem Drezna i Lipska względem Polaków bardzo go bolała i gdy jaka gazeta tamtejsza wystąpiła przeciw nam z jakiemi nieusprawiedliwionemi zarzutami lub napaściami, natychmiast posyłał jej bądź wyjaśnienie lub odprawę. Piszący te słowa widział u niego całe stosy takich gazet drezdeńskich i lipskich oraz jego odpowiedzi.

Najchętniej prowadził zwiedzającego Drezno Polaka na stary cmentarz katolicki, aby módz pokazać tamtejszą kolonię polskich nieboszczyków i oprowadzać po pomnikach słynnych emigrantów. Zajmował się bardzo żywymi, użyczał poparcia każdemu dobremu dziełu polskiemu, biedaków polskich, którzy zawadzili o Drezno, wspierał wedle sił, często także padał ofiarą wyzysku i oszustwa. To też najchętniej spieszył do tej kolonii polskiej na cmentarzu kato-





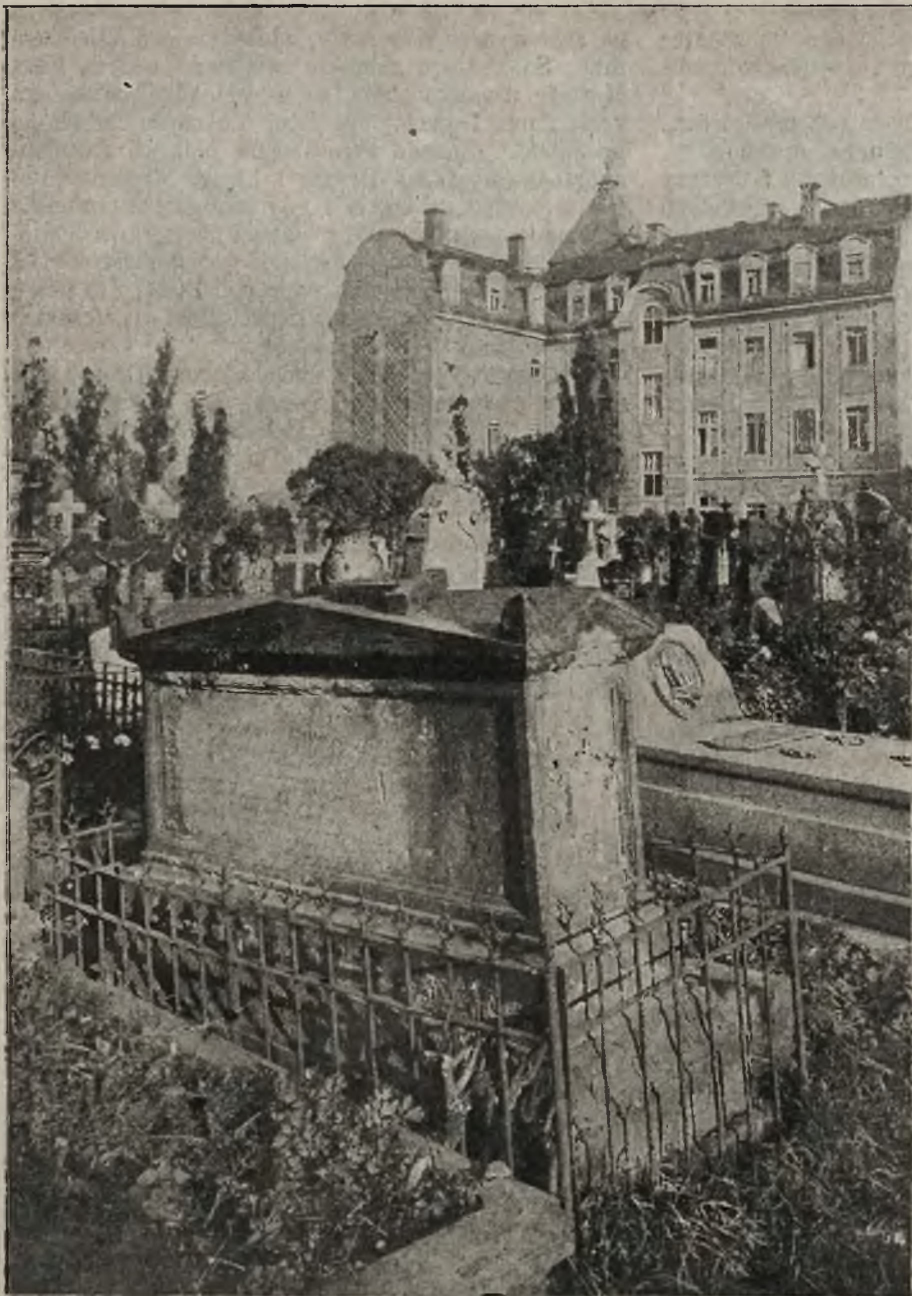
Kolonia polska na cmentarzu w Dreźnie i jej opiekun:

Grobowce Kazimierza Brodzińskiego i jenerała Woyczyńskiego. Grób jenerała Klemensa Habdank Kołaczkowskiego.

w głośnej swego czasu fabryce „Sulima“, której współwłaścicielami była polska rodzina emigrancka Konopackich i Wolfów. Poznawszy dokładnie ten przemysł, założył własną fabrykę pod firmą „Wulkan“, którą z małych początków do poważnych doprowadził rozmiarów. Za główny cel postawił sobie wyrugowanie obcych fabrykatów z swojej rodzinnej wielkopolskiej dzielnicy i zamiar ten w znacznej mierze pomyślnym uwieńczony został skutkiem. Młode pokolenie około roku 1880 do 1890 i później, za punkt honoru uważało sobie nie palić obcych papierosów tylko Komendzińskiego tanie a dobre fabrykaty. Marki jego „Wulkan“, „Sokół“ i „Wanda“ wyrugowały wszystkie inne. To powodzenie swojskich wyrobów spowodowało następnie ruchliwszych ludzi w Poznaniu i na prowincyi do naśladowania Komendzińskiego w tej dziedzinie. Powstał cały szereg fabryk papierosów już na grucie poznańskim, z pomiędzy których prym trzyma fabryka zmarłego niedawno Franciszka Panowicza pod firmą „Patria“, druga największa w całem państwie pruskiem, zatrudniająca tysiące wyłącznie polskich pracowników i pracownic. S. p. Franciszek Komendziński był pio- tąd go w niej pełno było, a gdy wielkich i większych w niej nie stało, bądź skutkiem śmierci, bądź z powodu coraz mniej gościnnego nastroju ludności Drezna dla Polaków, ś. p. Franciszek Komendziński wysunął się na czoło kolonii i stał się niejako konsulem tamtejszej polskości. Przez dziesiątki lat aż do śmierci był prezesem tamtejszego Towarzystwa Przemysłowego, w którem się głównie skupiało życie tamtejszych Polaków. Kto przyjechał do Drezna, jak w dym wpadał do Komendzińskiego, bo wiedział, że przez niego dotrze do innych Polaków tamtejszych, pozna dokładnie Drezno i tak obfite w niem pamiątki polskie. Chętnie odgrywał rolę Cicerone'a, oprowadzał rodaków po „Grünet Gewölbe“ i muzeum historycznem, w których każdy szczegół pochodzący z Polski, lub do niej się odnoszący, znał na pamięć. „Patrz pan — mówił zwykle do zwiedzającego muzeum drezdeńskie Polaka — co ci Sasi z Polski wywieźli (używał tu słowa drastyczniejszego!)“ albo: „Jak obu Augustom saskim godność króla polskiego imponowała. Patrz pan, na każdem najmniejszem choćby szkiełku umieścili podwójny herb Polski i Litwy, a następcy jego dopuścili, że lickim, bo, jak mówił, „ci mnie nie oszukają, przeciwnie przenoszą mnie myślą w ową dobę pełnej chwały bojów roku 1830 i 1831, gdyśmy mieli własną armię i wielkich wojowników“.

„O, patrz pan, czy może być piękniejsza pamiątka, jak te dwa obok siebie stojące i wspólną zielenią ocienione pomniki poety żołnierza Kazimierza Brodzińskiego i jenerała Woyczyńskiego, na tle wielkiego grobowca słynnego syna Augusta II., księcia Maurycego Saskiego?“

I tu zaczął mi opowiadać dzieje tych pomników. Jak one zębem czasu zostały zniszczone i zapomniane przez rodaków, a przedewszystkiem przez rodziny tych, którzy tam legli na wieczny spoczynek. Wiele z nich było tak zniszczonych, tak wpadłych w ziemię, że groziły zupełnem zapadnięciem się. Dozór gminy katolickiej w Dreźnie, któremu nazwiska pochowanych tam Polaków nic nie mówiły, skazał je na usunięcie. — „Wtedy ja się tą sprawą zająłem — mówił mi ś. p. Komendziński. — Przedewszystkiem wymogłem na władzy kościelnej, że mi dała zwłokę na odnowienie względnie odbudowę pomników i nagrobków. Potem udałem się





Kolonia polska na cmentarzu w Dreźnie i jej opiekun:

Dawny grobowiec pułkownika Adama Bojanowicza.

Nowy grobowiec pułkownika Adama Bojanowicza.





Kolonia polska na cmentarzu w Dreźnie i jej opiekun:

Grobowiec jenerała Mieczysława Chodkiewicza.

Grób Gustawa hr. Olizara.

do rodzin pochowanych na cmentarzu drezdeńskim wybitnych emigrantów, o ile ich adresy w różnych częściach Polski były mi dostępne, posłałem im wykonane przezemnie zdjęcia zniszczonych nagrobków i pomników, kosztorys ich restauracyi i prosiłem o zajęcie się nią bądź wprost przez nie, bądź za mojem pośrednictwem".

Na dowód, jak niektóre z tych nagrobków się przedstawiały, podaję tu z zaofiarowanych mi przez ś. p. Komendzińskiego zdjęć widok grobowca w kształcie tumby, w którym spoczywają zwłoki



Artylarya Legionów: Wymierzanie odległości do celu strzałów artyleryi (X) Podporucznik Englisch.

ś. p. pułkownika Adama Bojanowicza, w stanie zniszczonym, a obok niego obecny grobowiec, odrestaurowany staraniem rodziny i ś. p. Komendzińskiego.

Na nowym nagrobku, naśladującym wiernie kształt i wykonanie dawniejszego, zniszczonego, widnieje napis: „Tu spoczywają zwłoki ś. p. Adama Bojanowicza, b. pułkownika sztabu kwatermistrzostwa Generalskiego b. Wojsk Polskich, kawalera Legii honorowych i wielu krajowych i zagranicznych orderów oraz znaku nieskazitelnej służby, ur. w Warszawie 24 grudnia 1787, zmarłego w Dreźnie 19 grudnia 1852. Pozostały synowiec pełen czci, wdzięczności i niewygasłego żalu ten pomnik stawia". Na najniższym stopniu grobowca widzimy laskę zakopiańską. To laska, którą zmarły opiekun kolonii polskiej na cmentarzu drezdeńskim stale nosił, a którą tu położył, gdy zabrał się do zdjęcia fotograficznego tego pomnika.

Pięknie przedstawia się na tle obfitej zieleni obelisk, spoczywający na wystylizowanym postumencie, jenerała b. wojsk polskich ś. p. Mieczysława Chodkiewicza. — Na froncie obelisku umieszczono czapkę ułańską, dzidę i szablę, nazwisko zmarłego i herb rodzinny, u dołu prosty krzyż.

Od żołnierza niedaleko do poety. — Skromny ociosany kamień z prostym krzyżem u góry przypomina, że spoczywają tu zwłoki głośnego niegdyś w całej Polsce Gustawa hr. Olizara, poety, publicysty i mecenasa literatury, wychowańca liceum krzemienieckiego, b. marszałka szlachty gubernii kijowskiej, autora znanych „Wspomnień G. O.", wydanych w Wilnie w roku 1840—1842 i „Pielgrzymek", ogłoszonych w „Ateneum" Kraszewskiego. Napis na nagrobku brzmi: „Drogiej pamięci Gustawa hr. Olizara — Sercem, duchem, czynem Żył dla kraju i swoich — Ur. 2 maja 1798 — Zmarł w Dreźnie 2 stycznia 1865 — Wieczny odpoczynek".

Z pozostałych w mej tece fotografii grobów polskich na cmentarzu drezdeńskim, ofiarowanych mi przez ś. p. Komendzińskiego, podaję wreszcie podobiznę pięknego nagrobka jenerała Kołaczkowskiego, Poznańczyka. Na smukłej kolumnie widnieją słowa „Rodzina i rodacy", a na cokole czytamy: „Klemens Habdank Kołaczkowski Generał byłych



Pożar Janowa Podlaskiego: Część miasteczka, która doszczętnie spłonęła, w czasie pożaru.



Pożar Janowa Podlaskiego: Płonące domy w Rynku.



Artylerya Legionów: Przyjazd artyleryi na pozycyę

Wojsk polskich ur. w Poznaniu 1793 † w Dreźnie 1843.

Słowa „rodzina i rodacy“ świadczą, że ten piękny pomnik, postawiony został w części ze składek publicznych, uzbieranych staraniem opiekuna pamiątek polskich na cmentarzu drezdeńskim. Niektóre odnowione zostały w całości ze składek publicznych, bo rodziny interesowane, mimo nawoływań ze strony ś. p. Komendzińskiego, w niczem się do ich restauracyi nie przyczyniły. A gdy składek nie starczyło, opędzał odnowienie całego szeregu nagrobków sam ich opiekun z własnych funduszów, byle nie dopuścić do zupełnego ich usunięcia. Ten obywatelski czyn zacnego przemysłowca wielkopolskiego godziło się przypomnieć naszej powszechności ku uczczeniu jego pamięci w roku jego zgonu, który osierocił kolonię polską na cmentarzu katolickim w stolicy królestwa saskiego.

Kto nią się będzie teraz opiekował i od zniszczenia ratował?

Fr. Salezy Krysiak.

Artylerya Legionów.

Z początkiem wojny dostały Legiony baterye armat starego systemu, które, jak wiadomo, wobec nowoczesnej sztuki wojennej okazywały pewną niepraktyczność, bo pomijając mały ich kaliber, przy wystrzale otaczały się kłębami dymu, co zdradzało pozycye nieprzyjacielowi. Nie rzadko armatka taka, ustawiona czy to na wzgórzu jakiemś, czy pagórku, po oddaniu strzału z impetem przewracała się, niesfornie chowając się do zarośli lub rowu. Legioniści z powodu tych wad nazwali żartobliwie armatki te „werndlami na kółkach“.

W roku zeszłym wycofano te przestarzałe armaty i dano na ich miejsce nowoczesne ośmio-centymetrowe polowe działa najnowszego systemu.

Z początkiem wojny wydawało się, że ciężkie działa nie odegrają wielkiej roli na terenach odkrytych, podczas posuwania się wojsk, bitew lub większych potyczek, a okażą się niezbędne tylko przy zdobywaniu twierdz, lub ufortyfikowanych silnie miejsc. Trudność transportowania ciężkich dział, kosztowność pocisku, następnie szybsze zużywanie się armaty większego kalibru podtrzymywało to mniemanie. Przebieg działań wojennych okazał jednak użyteczność ciężkich dział na każdem polu. To też prócz lekkich polowych bateryj, dostały Legiony baterye ciężkich haubic,

Artylerzyści Legionów przez trzy miesiące ćwiczyli się w Krakowie, zapoznając się dokładnie z obsługą haubic pod komendą por. Boruckiego. Baterya odjechała na plac boju, żegnana na dworcu podgórskim przez delegacyę N. K. N.

Illustracye nasze przedstawiają fragmenty z życia polowego artyleryi Legionu.



Artylerya Legionów: Armaty na pozycyi.



Wojenny chrzest: Chrzciny podczas walk nad Dunajcem. Przed prowizorycznym kościołem stoją: proboszcz parafii zabawskiej ks. Mendrala, kapelan wojsk niemieckich ks. Schneider i ojciec chrzestny nadpor. Ronchetti (z dzieckiem na ręku).

Wojenny chrzest.

Jak życie, tak i wojna to kalejdoskop, w którym mienią się najrozmaitsze barwy. Wśród morderczych walk śmierć zbiera swe okropne żniwo,



Z ostatnich walk: W okopach na wschodnim froncie.

a jednocześnie nie brak i jaśniejszych błysków w rozgwarze życia obozowego. Charakterystyczny pod tym względem obrazek przedstawia nasza illustracya... W czasie krwawych walk nad Dunajcem w jednej ze wsi przyszło na świat dziecko. Kościół parafialny w Zabawie został zburzony, więc zamieniono na prowizoryczny kościół stodołę na leśniczówce w Wał Rudzie. Tam też odbył się chrzest dziecka niemal na linii bojowej — chrzest prawdziwie wojenny, bo obrzędu chrzcin dokonał w obecności miejscowego proboszcza ks. Władysława Mendrali kapelan wojsk niemieckich ks. Schneider, a ojcem chrzestnym był nadporucznik wojsk austryackich Ronchetti.

Zamieszczona fotografia przedstawia właśnie przed prowizorycznym kościołem uczestników tego chrztu wojennego: ks. Mendralę, kapelana niemieckiego i ojca chrzestnego z dzieckiem na ręku.

VALENTIN MANDELSTRAMM.

FATALNY DYAMENT.

Tłumaczyła z francuskiego: **MARYA SEGENY.**

11

W tej samej chwili otworzyły się równocześnie drzwiczki z obydwu stron i dwóch ludzi pochwyciło silnie za ręce starą damę, podczas kiedy trzecia jakaś osobistość, przybyła razem z tamtymi, zręcznym ruchem uniosła jej koronkową zasłonę razem z peruką.

Okrzyk przerażenia wydarł się z piersi starszej damy. Naprożno rękami osłonić chciała duże sploty rudych włosów, błyszczących przy świetle latarni, jak krwawe złoto.

— Co to jest? — wołała zmieszana — Napad! Napad na kobietę na spokojnych ulicach Paryża!

Rozległ się ironiczny śmiech i słowa wymówione poważnym, surowym głosem:

— Miss Edyto Brown, mam przyjemność powitać panią. — Jestem detektyw angielski, Clemson, do usług pani!

Jeszcze jeden okrzyk, ale tym razem nabrzmiały rozpaczą i wściekłością rozległ się w powozie i miss Edyta Brown usunęła się omdlała na poduszki.

Ostatni dzień barona de Lambriere.

Około godziny wpół do trzeciej rano baron Gerard de Lambriere powrócił do swojego mieszkania przy ulicy des Courcelles.

Stróż spał głęboko i nie słyszał niezrozumiałych słów, które baron rozmyślnie rzucił, przechodząc obok jego loży.

Nie posługując się windą, udał się po schodach na piętro, kierując się zręcznie w ciemności, zalegającej klatkę schodową i doszedł do drzwi swojego mieszkania. Otworzył drzwi cicho, udał się prosto do sypialnego pokoju, gdzie zapalił światło i gwałtownym ruchem rzucił w kąt walizkę podróżną, niesioną w ręce.

Baron de Lambriere musiał być silnie zdenerwowanym, czy też zmęczonym.

Nie rozbierając się, usiadł ciężko na pierwszym fotelu, wyciągnął nogi i bezwładnie wsparł głowę o poręcz. — Po raz pierwszy od dwunastu godzin mógł teraz zastanowić się, obmyśleć sytuacyę, rozważyć ważność dokonanych czynów, podjętych gorączkowo i nagle.

— Dyabelnie ciężki był ten dzień! — szepnął — Przeżyłem w nim więcej, niż niejeden przez życie całe! Ale opłacił mi się przynajmniej! Teraz drwię sobie ze wszystkiego!

Przedewszystkiem upewnił się, czy zawsze ma na piersiach grubą paczkę banknotów, ukrytych tam wraz z szarym zeszytem i uśmiechnął się z zadowolenia.

— To warte jest miliony! — mruknął — Warto było pomozolić się trochę dla takiej nagrody.

Potem wyjął z bocznej kieszeni niewielkie pudełeczko z kartonu i otworzył, chcąc przy świetle obejrzeć drobny, ostry kamień, który się miał tam znajdować.

Ale natychmiast drgnął silnie i wyprostował się. Pudełko było puste!

— A to co znowu do dyabła! — zaklął — Czyżbym go zgubił? Może mi wyleciał w ciągu przepraw tego okropnego dnia! Ach! zresztą niema nad czem się tak zastanawiać! To jest drobiazg wobec reszty!

Był tak zmęczony i wyczerpany różnemi silnemi przejściami i wzruszeniami, odbieranemi bez przerwy przez te kilkanaście godzin, że nie czuł już nawet sił do głębszego zastanawiania się.

Wszystko, czego dokonał dzisiaj, wydawało mu się jakimś snem niezdrowym i gorączkowym. A przecież fakta wszystkie wiązały się ze sobą logicznie i realnie, przedstawiając pewność jasną i nieodwołalną. — To wszystko rzeczywiście było, a tylko umysł jego wyczerpany pokrywał wydarzenia minione jakąś mgłą lekką. Od czego właściwie ten dzień pamiętny się zaczął? Acha! Przypomniał już sobie!

Widzenie się ranne z sir Archibaldem Graves, któremu towarzyszył Bob, kamerdyner i zaufany Johnny Smith... tam w tym szałasie w „Parku księżycym"...

Debatowano tam obszernie i decydująco nad planem pewnym.

Ale jakiż to był plan właściwie? Tak, tak, wie już dobrze — to był naprawdę genialny, niezwykły plan! Szwagier jego, bankier Jerome Versigny w grę wchodził!

Jerome Versigny...

Teraz Gerard de Lambriere przypominał sobie dokładnie, o co to chodziło.

Ale jaki był zaczątek tego wszystkiego? W ostatnich czasach, szybkim i nieodwołalnym krokiem, dążył do całkowitej ruiny. Doszło do tego, że poszukiwano go już i mógł być lada chwila zaaresztowany za podjęcie w banku, którego był administratorem, sumy dosyć pokaźnej, bo miliona franków. Tak się jakoś złożyło nieszczęśliwie, że te pieniądze przywłaszczyć sobie musiał. Wogóle od jakiegoś czasu szczęście zupełnie odwróciło się od niego i musiał się chwytać każdej sposobności, by nie runąć głową na dół w przepaść, która coraz wyraźniej rysowała się pod jego nogami.

I wtedy także, nie chcąc dopuścić do ostatecznej katastrofy, musiał się związać z sir Archibaldem Graves. Angielski finausista żądał od niego wydania planu działań finansowych bankiera Versigny'ego, przygotowanego na rok następny i kopii wszystkich sekretnych kontraktów, zawartych z dostawcami z Przylądka przez Towarzystwo francuskie kopalń dyamentowych.

To nie było niemożliwe do urzeczywistnienia, bo Gerard de Lambriere wiedział dobrze, gdzie szukać ma tych ważnych dokumentów szwagra.

Bywając często w biurach banku Versigny, wiedział, że chowa je zawsze, aby je mieć w każdej chwili pod ręką, w gabinecie swoim przy ulicy Pillet-Will.

Lambriere podpatrzył system otwierający kasę wertheimowską i podrobił sobie do niej klucze. — Uczynił to nawet daleko wcześniej przez ostrożność, nie przeczuwając, że to może mu się przydać tak prędko. To było jeszcze w tym czasie, kiedy ze szwagrem swoim żył w najlepszej zgodzie. Ale jednego dnia, jak gdyby w przeczuciu przyszłości, powiedział sobie filozoficznie: „Niewiadomo, co zdarzyć się może" — i klucze podrobił. Posłużyły mu teraz! Zanadto dobrze znał szwagra, aby mógł przypuszczać, że ten przejęty jakiemś niedowierzaniem kazał zmienić zamek u kasy. Zresztą i na tę niespodziewaną ewentualność Gerard de Lambriere znalazłby jakąś radę. Są przecież różne sposoby, mikrofory, które, przybliżone do skomplikowanych zamków, ułatwiają zbadanie systemu, wykazując właściwy!

Największą trudność przedstawiało wejście do gabinetu Versigny'ego. Nie mógł się przecież narazić na to, aby go pochwycono przy robocie.

Po pierwszem zawarciu znajomości z baronem de Lambriere, Archibald Graves, ostrożny zawsze i niedowierzający, zbadał osobę przyszłego wspólnika, chcąc się przekonać, czy zawierzyć mu może i czy plan jego wykradzenia dokumentów bankiera Versigny'ego jest wogóle wykonalnym.

Trzymał się więc jakiś czas w rezerwie, ale kiedy zebrał dostatecznie potrzebne mu informacye, okazał się bardzo zadowolonym z nowego pomocnika i pomyślał nad udoskonaleniem jego zamiaru.

Zawezwał go więc raz do siebie i zamknąwszy się z nim w pokoju, rzekł do niego:

— Mój kochany panie, to jeszcze nie wszystko zabrać te papiery, chociaż interesują mnie one nadzwyczaj, ale trzeba zrobić jeszcze coś innego.

— Co takiego? — zapytał baron de Lambriere, który raz pochwyciwszy tak potężnego wspólnika, byłby uczynił wszystko, czegoby zażądał, widząc w tem ogromny interes dla siebie.

— Byłoby cudowną rzeczą — odpowiedział dobrodusznie „król dyamentów" — gdyby nam się udało usunąć na przeciąg kilku miesięcy właściciela tych dokumentów.

— Usunąć? Jak to pan rozumie?

— Oh! niech się pan nie obawia! Zaznaczyłem przecież, że tylko na kilka miesięcy! Pan Versigny szkodzi mi w moich wyrachowaniach. Chcę go więc uczynić nieszkodliwym na czas pewien i umieścić w miejscu, skąd przeciw mnie działać nie będzie mógł.

— Ależ panie! — próbował się bronić baron de Lambriere, któryby chętnie szukał dróg mniej radykalnych i niebezpiecznych dla zadowolenia swojej chciwości — Zdaje mi się, że to jest niemożebne!

Archibald Graves przeszył go twardem i zimnem spojrzeniem.

— Myli się pan, kochany baronie. U mnie niema rzeczy niemożebnych do przeprowadzenia. Popieram je bowiem za silnym argumentem, przed którym nic się oprzeć nie potrafi!

— Przyznaję, ale...

— Żadnego ale. Posłuchaj mnie, baronie. Jesteśmy tu sami we dwóch w biurze moim, gdzie mówi się i robi interesa przeróżne, z wykluczeniem słabości i sentymentu. A więc mówmy o interesach i nie bawmy się w słowa, które tylko czas niepotrzebnie zabierają. Zrozumiał mnie pan?

— Zrozumiałem! — odpowiedział baron de Lambriere.

Czuł już dobrze, że jest tylko narzędziem w rękach potężnego finansisty i chcąc doprowadzić do swojego celu, musi zaryzykować wiele.

— Oddawna już — mówił dalej sir Archibald Graves — postanowiłem stawić czoło bankierowi Versigny'emu, dla którego siły i inteligencyi czuję podziw najwyższy, ale który zawadza mi w moich kombinacyach finansowych. — Zresztą, nie dawno jeszcze zrobiłem mu pewne propozycye i podałem warunki zgody, które on lekkomyślnie odrzucił. — Wówczas powiedziałem mu, żeby się strzegł, bo wypowiadam mu oficyalną wojnę. Jest więc ostrzeżony. Widzi więc pan, że pana usługi przyszły do mnie w samą porę. Dodaję, że gdybym z nich nawet nie chciał skorzystać, zdecydowany jestem zagrać w otwarte karty z panem Versigny i użyć najradykalniejszych środków. Ale pan zaproponował mi swoją pomoc, więc ją przyjąłem i teraz ja proponuję panu. Albo przystąpimy do wielkiego dzieła, albo nic nas łączyć nie będzie! Sądzę, że się pan nie cofnie, bo znam obecną sytuacyę pana, z której pan przecież nie robił przedemną tajemnicy.

Gerard de Lambriere zaklął w duchu.

Czuł, jak wzbiera w nim całą potęgą żywiołową dawna duma i próżność atawistyczna, zmiażdżona i podeptana olbrzymią mocą i siłą złota! I nie módz się w inny sposób uwolnić od tej potrzeby naglącej!

Ten człowiek, który teraz z taką zimną krwią i wyrachowaniem ważył słowa, wiedząc, że niemi przekonać go musi, był panem jego sytuacyi! Już teraz zapóźno było cofać się! Pogrążyłby się w hańbie innej i położeniu bez wyjścia.

Archibald Graves czuł, że baron de Lambriere jest w jego mocy i nie ośmieli się cofnąć, bo oczy jego zabłysły ironicznym blaskiem, kiedy zapytał go po chwili:

— No i cóż, panie baronie? Czy gotów jesteś wypełnić każde moje życzenie?

— Tak! — odrzekł ponuro baron de Lambriere — Ale to pana wiele kosztować będzie. Skoro to dla pana sprawa tak ważna, niechże i ja przy niej skorzystam i wiem, za co ryzykuję życie.

— To jest zupełnie sprawiedliwie! — oświadczył sir Archibald Graves — Wiedziałem, że jak tylko wyłącznie o interesach mówić będziemy, to porozumiemy się łatwo. Więc zgadza się pan na dopomożenie mi w uprowadzeniu bankiera Versigny?

— Tak.

— Doskonale. Otóż obmyśliłem plan taki. Będziemy się starać wciągnąć go w zasadzkę. W razie potrzeby, jeżeli to pociągnie za sobą za wiele zachodu, wyznaczę mu otwarcie spotkanie w oddalonem jakiemś miejscu.

— Czy tylko przyjdzie?

— Przyjdzie. Znam go dobrze. Dumny jest i stawi się na moje wezwanie.

— A jeżeli przyprowadzi kogo ze sobą?

— Nie zna pan widocznie pana Jeroma Versigny, chociaż to szwagier pana, panie baronie. Ten człowiek posiada za wiele miłości własnej i ambicyi, aby się upokorzyć przedemną okazaniem choćby chwilowej słabości, czy lęku. Przyjdzie sam, ręczam panu.

— Gdzie go pan myśli ukryć?

— Posiadam w okolicach Paryża niewielką willę, ukrytą w rozległym ogrodzie w „Parku księżycym". Sąsiedztw niepożądanych tam niema, zresztą zakupiłem tę willę pod przybranem nazwiskiem i zachowuję wszelkie środki ostrożności, kiedy się do niej udaję... Jest tam na parterze, a właściwie już w podziemiach parę pokoi, urządzonych z najwyższym komfortem: sala kąpielowa, palarnia...

— Ho, ho! — roześmiał się ironicznie Gerard de Lambriere, patrząc bystro w twarz sir Archibalda Graves — Widzę, że to schronisko już niejednokrotnie panu służyć musiało...

— Możliwe! — odparł krótko „król dyamentów" — Ale, kochany baronie, nie o tem przecież mieliśmy mówić.

— Ma pan słuszność. Słucham dalej.

— Przyprowadzimy więc tam bankiera Versigny'ego. Omówimy jeszcze dokładnie, jaką drogą do tego dojdziemy. — Mam zawsze przy swoim boku dwóch ludzi, oddanych mi ciałem i duszą. Oni to wezmą pod swoją opiekę naszego więźnia i czuwać będą, aby się nie wymknął i nawet nie domyślił,

gdzie się znajduje. Ludzie ci są wyszkoleni w każdym kierunku i oddali mi już niejedną przysługę.

— Teraz pan sam się zdradza, sir Archibaldzie Graves! — zauważył ironicznie baron de Lambriere.

— Oh! kochany baronie, nie lękaj się o mnie. Ja zawsze tylko tyle powiem o sobie, ile zechce — brzmiała swobodna odpowiedź finansisty angielskiego. — Lecz kończmy już naszą rozmowę. Żeby pana uspokoić, deklaruję i przysięgam pod słowem honoru, że panu Versigny, podczas pobytu w willi, nawet włos z głowy nie spadnie. Przeciwnie, będzie podejmowany z wszelkimi mu należnymi honorami.

— I długo potrwa ta przymusowa wizyta?

— To będzie zależeć od wielu okoliczności. Jak tylko działanie moje stanie w poprzek zamiarów pana Versigny'ego — wrócę mu wolność. Co zaś do dyskrecyi, to przypuszczam, że obydwaj w wspólnym, dobrze zrozumianym interesie potrafimy ją zachować — nieprawdaż, kochany baronie?

— Ależ oczywiście, proszę pana.

— Mam przecież pana w swoich rękach? Zapłaciłem za pana zdefraudowane w kasie...

— Poco o tem mówić, sir Archibaldzie Gra ves — przerwał niecierpliwie Gerard de Lambriere — skoro dobrze wiemy, na jakim gruncie wobec siebie stoimy obydwaj.

— Oto mądre słowa! Ale wówczas nie było jeszcze w planie uprowadzenia Versigny'ego.

— Tak jest, nie mówiliśmy jeszcze o tem wówczas.

— Będę teraz panu dłużny za okazaną mi pomoc w sprowadzeniu szwagra do mojej willi. Czy ocenił ją pan już!

— Jeszcze nie. Wierzę w pana słowo.

— Więc przypuszczając, że do końca będzie pan na tyle odważnym, kochany baronie...

— Będę! — odpowiedział stanowczo Gerard de Lambriere — Może pan liczyć na mnie!

— To mi się podoba. Więc będzie pan na tyle odważnym i potrafi wcisnąć się do jego gabinetu, nie będąc poznanym przez woźnego, który stale rezyduje w przedpokoju. Jeżeli się panu to uda zaraz po uprowadzeniu pana Versigny'ego, bo to jest ważna okoliczność, panie baronie, zanim ktokolwiek spostrzeże jego zniknięcie — przeznaczam dla pana sto tysięcy funtów szterlingów — a oto zadatek!

Mówiąc to sir Archibald Graves wyjął z kieszeni dobrze nabity portfel i wręczył swojemu wspólnikowi banknot, opiewający na dziesięć tysięcy funtów.

Gerard de Lambriere przyjął go bez słowa, tylko jego ręka zadrżała lekko, kiedy go chował do kieszeni.

— Czy wie pan już, w jaki sposób dostanie się pan do gabinetu szwagra? — zapytał jeszcze sir Archibald Graves — Może ułożymy plan ten wspólnemi siłami.

— Dziękuję. To już do mnie należy. Wynajdę coś, co zawieść mnie nie będzie mogło!

— — — — — — — — — — — — —

Gerard de Lambriere, siedząc teraz w swoim pokoju, przypominał sobie coraz jaśniej dalszy przebieg przygotowań, które sir Archibald Graves poprowadził w przyspieszonym tempie.

W automobilu, którym miał być uwieziony bankier Versigny, kazał sporządzić pewną maszyneryę, którą zniżać i podnosić można było do woli. Maszynerya ta służyć miała do pochwycenia głowy więźnia, siedzącego pod nią. Poruszać zaś nią miał przy pomocy ukrytej sprężyny sam Archibald Gra ves, który chciał bankiera odwieźć do willi.

Równocześnie za naciśnięciem tej sprężyny rozpocznie swoją działalność rozpylacz, wypełniony chloroformem.

Bob, kamerdyner sir Archibalda Graves, przebrany za szofera, towarzyszyć miał swojemu panu w tej tajemniczej przeprawie. Otrzymał rozkaz puszczenia motoru w ruch najszybciejszy dla uniknięcia ciekawych spojrzeń przechodniów i okrążenia kilku ulic, w celu zatarcia śladów. — Poczem miał ciągle w przyspieszonym tempie skierować maszynę do „Parku książęcego“, gdzie Gerard de Lambriere czekać miał w pogotowiu. Wtedy bowiem zacznie się trudna i ryzykowna jego działalność.

Nareszcie dzień wyznaczony nadszedł, oczekiwany z drżeniem przez wszystkich, dopuszczonych do tej tajemnicy.

Najwięcej niepokoju i zdenerwowania okazywał baron de Lambriere. Podniecony i wzruszony oczekiwał od wczesnego rana w willi sir Archibalda Graves, w towarzystwie jego sekretarza Johmy Wills'a, który z grzeczności zabawiał go rozmową. Ale Gerard de Lambriere nie zwracał nawet uwagi na jego słowa. Z natężeniem, wzrastającem z każdą chwilą, nadsłuchiwał stłumionego turkotu maszyny, mającej nadjechać. Nareszcie koło godziny trzeciej automobil ukazał się na skręcie drogi, w pełnym pędzie wtoczył się do ogrodu i zatrzymał się na dziedzińcu przed garażem.

Bob zeskoczył z kozła i przy pomocy Wills'a wyniesiono bezwładne ciało Jeroma Versigny'ego i wniesiono do willi.

— Teraz na pana kolej, baronie! — oznajmił krótko sir Archibald Graves, który jeden z otaczających go nie stracił pogodnego zachowania i przytomności umysłu.

Gerard de Lambriere nie odrzekł ani słowa. — Wyjął z kieszeni przygotowane wcześniej duże, siwe włosy, włożył na ramiona obszerne futro szwagra, monokl jego na oko i ująwszy w rękę laskę jego o srebrnej gałce i teczkę z czerwonej skóry — stanął przed sir Archibaldem Graves...

— Doskonale! — zawołał tenże zachwycony — Sam Versigny pomyliłby się co do osoby i uwierzył w sobowtóra. Doskonały pomysł. No, szczęśliwej drogi, baronie, czas nagli...

Gerard de Lambriere doskonale pamiętał tę chwilę, w której wszedł do gabinetu szwagra na ulicy Pillet-Will.

Przejście koło portyera i woźnego Edwarda udało mu się wyśmienicie. Żaden z nich nie przypuszczał, że ma przed sobą fałszywego Versigny'ego.

Pamiętą, jak z westchniem ulgi usiadł na chwilę w szerokim fotelu przed kominkiem i zapatrzył się w ogień.

Ale nie mógł długo próżnować. Zatelefonował do woźnego, nakazując mu nie wpuszczać nikogo do gabinetu. Rozkaz ten nie mógł zadziwić go, bo Lambriere słyszał sam nieraz, będąc u szwagra, jak ten, zmęczony, czy zapracowany, w ten sposób rezerwował sobie chwilę samotności. Uspokoiwszy się co do tego punktu, przystąpił do otwarcia kasy wertheimowskiej. — Otwarła się bez żadnych trudności!

Wtenczas Lambriere prędko zaczął przeglądać papiery, przebierać, segregować te, które wydawały mu się być wartościowe. Niewielkie pudełeczko tekturowe zwróciło jego uwagę. Zawierało drobny, ostry kamyczek. Włożył pudełko do kieszeni kamizeki i już miał zamiar zamknąć kasę, kiedy dojrzał jeszcze zeszyt w szarej oprawie. leżący w bocznej skrytce na samym końcu szuflady. Przebiegł go szybko oczami, ciekawy, co zawierał. Kartki pokryte były drobnem, zwięzłem pismem, gdzieniegdzie powtarzało się słowo „dyament“ i chemiczne jakieś określenia. To uderzyło jego uwagę i zabrał zeszyt, przypuszczając, że kiedyś może się przyda jeszcze.

Po kilkunastu minutach, Gerard de Lambriere, zręcznie oddaliwszy woźnego, wychodził z biura bankiera Versigny'ego.

Teraz znajduje się na ulicy Heldez, w hotelu „Princelet“, w mieszkaniu sir Archibalda Graves.

Angielski finansista już go tam oczekiwał.

Baron de Lambriere z niecierpliwością przegląda wraz z nim przyniesione papiery. Za chwilę otrzymać ma umówioną kwotę za nie.

Pochylony nad stołem śledzi kartki dokumentów. Są wszystkie! Te najważniejsze, które przynieść miał. Archibald Graves powinien być zadowolonym. Dokumenty te zawierają majątek cały, dowodem są zręczności operacyi finansowych Jeroma Versigny.

Ale nagle sir Archibald Graves nie może powstrzymać lekkiego okrzyku zdumienia. — Trzyma w ręce zeszyt w szare płótno oprawny i chciwie przegląda kartki. Grube, sine żyły zaznaczyły się na jego czole!

— A to ciekawe! — szepcze wzruszony — Baronie, nie wiesz sam może, jak cenną rzecz mi przyniosłeś!

— Ten zeszyt szary? — pyta Gerard de Lambriere — Cóż on zawierać może?

Sir Archibnld Graves tajemniczo się uśmiecha i czyta głośno:

„Opis sposobu wytwarzania sztucznego dyamentu!“

— Co? Panie baronie, czy to nie ciekawa rzecz? A tutaj dopisek ręką Versigny'ego:

„Odkrycie Włodzimierza Guzowa. Uważam je za rzecz skończoną i gotową do eksploatacyi. Zająć się pracownią w Saint Oven. Zebrać personal właściwy“.

— Ależ to jest coś wspaniałego! — wykrzykuje zdumiony sir Archibald Graves — Czy pan nie podziela mojego zdania?

Ale Gerard de Lambriere nie odpowiada.

Jakaś dzika nienawiść zbudziła się w nim nagle!

Odgaduje bowiem w jednej chwili, że ten szary, niepozorny zeszyt, zabrany prawie bezmyślnie przez niego z kasy szwagra — zawiera potęgę prawdziwą i bezcenną, którą wzamian za zysk śmieszny w porównaniu jego wartości — oddał nieświadomie temu angielskiemu finansiście, który zechce wykorzystać go dla siebie. Bo przecież nawet na sekundę przypuszczać nie może, że sir Archibald Graves wypuści dobrowolnie z rąk tak kolosalną zdobycz! O tem nawet marzyć nie może! Na myśl tę fala gorącej krwi zalewa mózg Gerarda de Lambriere, ręce drżą nerwowo.

Sir Archibald Graves nie domyśla się uczuć wspólnika.

Jeszcze więcej pochylony nad stołem, przegląda gorączkowo kartki zeszytu. W jego potężnych, muskularnych rękach spoczywa cenny dokument, zawładnął nim i nie pozwoli sobie odebrać nikomu. Szerokie czoło marszczy się pod wysiłkiem myśli, pracujących intenzywnie, ze zdwojoną siłą!

Widoku tej pewności znieść nie może Gerard de Lambriere. Szał przebiegł w jego oczach błyszczących.

Ten człowiek ze stali, niepokonany i chciwy, szatan despotyzmu i samolubstwa, pozbawi go losu, który się do niego uśmiechnął nareszcie!... Nie, nie! Na to on pozwolić nie może! Byłaby to kradzież jawna i bezczelna!

Lambriere nie jest już zdolny dłużej panować nad wściekłością, która spada na niego pragnieniem zemsty i zniszczenia...

Na stole błyszczy wąski nóż ze stali, służący do przecinania papierów. — Zimny blask jego nęci krwią nabiegłe oczy szaleńca...

Chwyta nagle nóż pewną ręką i zatapia go błyskawicznie i z westchnieniem ulgi w szerokie plecy zaczytanego sir Archibalda Graves...

Lekki podrzut ciała, okrzyk stłumiony w piersi i głowa króla dyamentów — ciężko, bezsilnie opada na krawędź stołu.

— — — — — — — — — — — — —

Baron Gerard de Lambriere jest już znowu na ulicy.

Idzie prosto przed siebie bez celu. Spotyka na jakimś placu dorożkę automobilową, zatrzymuje ją i wsiada. Każe się jakiś czas wieść w różnych kierunkach miasta. — Do Notre-Dame, do Olympu, wkońcu do Moulineaux. Następnie wysiada, płaci zdziwionego szofera, który przygląda mu się z uwagą i znowu błąka się bez celu, machinalnie wsiada do innych dorożek, które opuszcza po chwili. — Zmęczony jest i wyczerpany bardzo i pragnie spoczynku.

Wsiada jednak raz jeszcze do tramwaju i tam na ławeczce porzuca futro, laskę i teczkę skórzaną bankiera Versigny'ego. Wysiada ostatecznie w Auteuil, po raz ostatni bierze dorożkę, której jechać każe na dworzec północny, gdzie pozostawił walizkę swoją podróżną, powracając tego samego dnia rano pospiesznym pociągiem z Calais...

Nareszcie wraca do swojego mieszkania.

Jest więc znowu u siebie bezpieczny i spokojniejszy trochę.

Wyciągnął się wygodnie w fotelu i przeżywa raz jeszcze te wstrząsające chwile dnia całego... — Mogły one podciąć człowieka najsilniejszego, nawet o stalowych nerwach.

Myśl uporczywa podsuwa mu wspomnienie sir Archibalda Graves. Wstrząsa się nerwowo i zamyka oczy. Ten także uważał się za niepokonanego i silniejszego od wszystkich, a jednak...

Gerard de Lambriere usiłuje się pocieszyć. Powtarza sobie z przejęciem, że przecież nikt dowiedzieć się nie może o czynach jego dzisiejszych. — Nawet jedyny posiadacz jego tajemnicy wykradzenia dokumentów z kasy szwagra — zaszkodzić mu już nie może... Nikt się nie dowie! Ani ten przenikliwy i przebiegły Bernac, ani Michalina i Versigny! Zabezpieczony jest śmiercią wspólnika przeciw nim wszystkim! A któż mu dowieść może, że on, baron Gerard de Lambriere, zamordował sir Archibalda Graves! Jak tylko zrealizuje tu swoje sprawy, wyjedzie na zawsze z kraju! — Swiat jest obszerny i niejeden podobny jemu ukrywa się w nim i żyje szczęśliwie. Tylko odwagi i energii do końca! Słabość i niepokój zgubić go może!

Wysiłkiem woli Gerard de Lambriere powstał z fotelu i chcąc oprzytomnieć trochę, otworzył na chwilę okno i zaczerpnął świeżego powietrza. Następnie zamknął je i przeszedł się kilka razy po pokoju. Czuje, że lepiej mu już, krótki wypoczynek powrócił siły. Myśl funkcyonuje raźniej i łatwiej. Podchodzi do kominka i pali papiery znalezione w portfelu sir Archibalda Graves wraz z kilkoma nędznymi banknotami i książeczką czekową.

(Dokończenie nastąpi).

Zgon artysty na tułaczce.

Z Moskwy nadeszła wiadomość, że w szpitalu tamtejszym zmarł ś. p. Maksymilian Węgrzyn, wybitny artysta dramatyczny. Dla Krakowian pamiętny jest jego humor i siła charakterystycznej gry, tu bowiem, na scenie krakowskiej, rozwinął się w całej pełni jego talent w ciągu długoletnej działalności artystycznej.

W czasie przesilenia za dyrekcyi Solskiego opuścił scenę naszą razem z kilkunastu najświetniejszemi siłami aktorskiemi, zaangażowany przez dyrektora Szyfmana do Teatru Polskiego w Warszawie. Tam pracował przez ostatnie lata jako jeden z reżyserów.

Zawierucha wojenna zmusiła go do wyjazdu



Zgon artysty na tułaczce: S. p. Maksymilian Węgrzyn.

z Warszawy. W Kijowie, gdzie się zatrzymał, grał w zorganizowanym świeżo teatrze polskim. Choroba przerwała nadspodziewanie szybko jego działalność artystyczną. Po operacyi, której się poddał, nie władał już mową i musiał usunąć się ze sceny. Dla dalszej kuracyi wyjechał do Moskwy, gdzie śmierć przedwczesna go zaskoczyła. Zmarł mając lat 47, w pełni lat i rozwoju talentu.

W historyi teatru polskiego imię jego zajęło piękne miejsce, zasłużone pracą i talentem wybitnym.



Ze wschodniego frontu: Ostrzeliwanie nieprzyjacielskiego aeroplanu.

Pożar Janowa Podlaskiego.

(Do illustracyi na str. 9).

Dnia 28 czerwca wybuchł w Janowie Podlaskim, miejscowości leżącej w gubernii siedleckiej nad rzeką Bugiem, groźny pożar, który przy panującym wietrze, mimo energicznej akcyi ratunkowej ze strony stacyonowanego tam wojska niemieckiego i miejscowej straży pożarnej, szybko się rozszerzył, obracając w perzynę połowę miasteczka. Ogółem uległo pożarowi blizko sto zabudowań; w pożarze straciły życie dwie osoby. Szkoda, wyrządzona pożarem, przekracza pół miliona koron.

W dzisiejszym numerze podajemy dwa zdjęcia z pożaru w Janowie Podlaskim, dokonane przez naszego korespondenta.

Śmierć na polu chwały.

Toczące się na wschodnim froncie zacięte walki zaświadczyły znów o męstwie polskich żołnierzy, ale i nowe usypały mogiły. Wśród tych, co ostatnie walki z napierającą nawałą rosyjską przypłacili własnem życiem, poległ bohaterską śmiercią ś. p. Władysław Ungeheuer, porucznik 13. pułku piechoty. Urodzony 26. maja 1894 r. w Swiątnikach Górnych, uczęszczał do gimnazyum św. Anny w Krakowie, następnie, jako słuchacz III. roku prawa, po wybuchu wojny światowej, został dnia 17. września 1914 r. powołany do wojska. Nie mając ukończonej szkoły oficerskiej z powodu choroby, jako freiter wyruszył 17. marca 1915 r. w pole. Tam dopiero wystąpiły w całej pełni zdolności i przymioty młodzieńca. — Miłość Ojczyzny, zapał, szlachetność, odwaga zwróciły nań zaraz uwagę i spowodowały szybko po sobie następujące awanse i odznaczenia, tak, że z dniem 1. maja b. r. ś. p. Władysław Ungeheuer zamianowany został porucznikiem.

Przez piętnaście miesięcy pobytu w polu, przeszedł z pułkiem swoim wszystkie walki majowe i czerwcowe — pod Jawornikiem, Mogilnicą, nad Strypą, Dniestrem i Seretem, ostatnio — gdzie go granat rosyjski życia pozbawił.

Ozdobiony kilkoma medalami waleczności, kochany przez kolegów, czczony i uwielbiany przez swoich żołnierzy, pełen wiary w zwycięstwo, ufny także do ostatniej chwili życia w Opatrzność i swoje



Śmierć na polu chwały: Ś. p. Władysław Ungeheuer, porucznik 13. pułku piechoty.

ocalenie, dał życie młode i piękne Ojczyźnie w ofierze dnia 13. czerwca 1916 r.

Cześć Jego pamięci.



Grupa oficerów 13. pułku piechoty.



Kolejka za linią bojową Legionistów. (C. B. W. — N. K. N.)

Kronika tygodniowa.

Wyczytawszy w pismach codziennych, że kandydat do korony chińskiej, a obecny prezydent rzeczypospolitej, pan Juanszikaj, został otruty, a król grecki o mało żywcem nie usmażony, postanowiłem sobie dać spokój z polityką, jako z rzeczą bardzo niebezpieczną i, jeśli ją kiedykolwiek poruszę, to tylko mimochodem, gdy będę do tego zmuszony okolicznościami.

W pierwszym więc rzędzie poruszać będę sprawy miejscowe, a sposobności do tego chyba nie braknie, gdyż rada miejska została już napowrót uruchomioną po dwuletnim spoczynku i zabiera się właśnie do nowego okresu pracy, który zaczyna się od wyboru wiceprezydentów. Kto będzie wybranym, tego jeszcze powiedzieć nie można, choć sfery miarodajne mają już gotowych kandydatów, głosowanie zaś będzie tylko formą, bez której autonomia obejść się nie może. Zasięgałem w tym kierunku zdania jednego z radców, należącego nawet do jeneralnego sztabu krakowskiej demokracyi, wiedzącego więc, co było, co jest i co będzie, zapewnił mnie, że wybór padnie tylko na tego, kto się naprawdę zasłużył i kto daje pewną gwarancyę, iż będzie pracował dla dobra gminy i obywatelstwa. Widocznie wzięli sobie panowie rajcy do serca wskazówki z przed lat kilkuset, niedawno przezemnie powtórzone, a odnoszące się do wyboru ojców miasta, aby byli prawdziwymi jego ojcami, nie zaś ojczymami.

Rada miejska, ze względu na to, że żyjemy ciągle jeszcze pod grozą wojny, będzie miała w niejednej rzeczy skrępowane ręce, w każdym razie otwiera się przed nią działalność, która, oby wydała jak najobfitsze owoce. „*Pro publico bono*“ to dewiza, która powinna być wytyczną dla tych, których powołano do kierowania sprawami miasta.

Oprócz Rady miejskiej, która dotąd odbyła dopiero jedno właściwe posiedzenie, poświęcone sprawozdaniu prezydyum z czynności w minionym okresie, miałem ochotę zająć się i sprawami teatralnemi, głównie zaś okolicznością, dlaczego jeden odłam naszej prasy codziennej wcale przychylnie odnosi się do Towarzystwa operowego, grającego obecnie w miejskim teatrze, drugi zaś idzie nań bij-zabij. Niestety, nie mogłem się wywiązać z tego zadania, pokazało się bowiem, że redakcya *Nowości illustrowanych* nie rozporządza wcale tak zwanym biletem redakcyjnym. Zacząłem dochodzić, jaki mógłby być tego powód i dowiedziałem się ku memu nadzwyczajnemu zdziwieniu, że stało się to skutkiem wyroku pewnego pana z magistratu, mającego bezpośrednią styczność z kierownictwem teatru. Aczkolwiek jest to człek jeszcze bardzo młody, musi przecież być doświadczonym, skoro raczył najmiłościwiej orzec, że *Nowościom illustrowanym* bilet się nie należy.

Jaki był powód tego orzeczenia, nie wiem, po dobne wyroki feruje się zazwyczaj bez podawania powodów, które często bardzo lubią być na tle osobistem, więc światła dziennego nie znoszącem, mogę przecież zapewnić odnośnego pana, że w całym cywilizowanym świecie postąpionoby sobie inaczej, choćby nawet nie jedna, ale kilka bardzo wpływowych osobistości, i to w poważnym wieku, czuło w głębi serca do Redakcyi jakąś urazę.

Niechaj ów pan, czy też owi panowie, pamiętają słowa pacierza: „odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“...

A stokroć gorzej jeszcze, jeśli te winy są urojone, powstałe tylko w bujnej fantazyi tego lub owego.

Z tej więc racyi do teatru nie poszedłem i sprawami owemi się nie zająłem, choć byłem zupełnie odpowiedni, gdyż i ja uważam się za dramaturga, popełniłem bowiem w swoim czasie utwór dramatyczny, który obszedł wszystkie sceny polskie, ale nigdzie nie został przyjęty, co się zresztą u nas autorom często zdarza. Aby utwór czyjś dostał się na deski teatralne, trzeba przedewszystkiem, aby autor był osobistością wpływową, lub za takową uchodzącą, a ja nigdy się o to nie ubiegałem. Stąd więc klapa. Sztuki mej nie wystawiono, ale może to i lepiej, mogłaby była bowiem łatwo zrobić fiasko, jak to było nieraz udziałem utworów dramatycznych, które wyszły z pod pióra bardzo wpływowych osobistości.

Ale u nas dzieje się inaczej, niż gdzieindziej w świecie. U nas wielcy i uczeni ludzie nie wybijają się nad resztę szarego motłochu swą pracą, ale zarodek swej wielkości i uczoności przynoszą ze sobą na ten świat. Wszak ogólnie to rzeczą wiadomą, że do niedawnego czasu katedry uniwersyteckie były przeważnie dziedziczne, a krakowska Akademia Umiejętności znaną była pod nazwą Towarzystwa wzajemnej adoracyi, bo nikt się w poczet jej członków nie dostał, kto za godnego nie został uznanym właśnie przez to grono krakowskich wielkości, niepodzielną tam władzę dzierżące.

Syn uczonego, choćby nawet do nauki niewielką okazywał ochotę, już od chwili przyjścia na świat przeznaczonym bywał na następcę ojca na katedrze, jeśli zaś rodzic przypadkowo żył zbyt długo, wynajdywano dlań inną gałąź wiedzy, w której także był mistrzem. Wobec tego można powiedzieć, że u nas pierwszy egzamin kandydata na uczonego odbywa się już w kołysce i musi dlań wypaść dobrze.

Jakże wobec tego daleko poza nami stoją Chińczycy, o których egzaminach czytałem niedawno w „Kuryerku“! Dowiedziałem się z owego artykułu, że tam kandydat, chcąc być do pierwszego egzaminu dopuszczonym, musi się wykazać nieskazitelnem życiem swem oraz czterech pokoleń wstecz. Do plam na honorze należy posiadanie między przodkami golarza, aktora lub kata, niemniej też osoby, któraby była sądownie karana.

Egzamin ten odbywa się zawsze w miejscu urodzenia kandydata (u nas w kołysce) i to na podstawie „świadectwa moralności“, wydanego przez całą gminę (u nas wystarczy najbliższa rodzina).

Chińczyk, który zdał z dobrym skutkiem ten egzamin, otrzymuje tytuł „kwitnącego talentu“, taki sam, jaki noszą pociechy naszych mam i tat, twierdzących zawsze i wszędzie, że ich synkowie to geniusze, tylko profesorowie nieraz nie chcą, czy nie umieją się na nich poznać.

Jeszcze gorszym jest drugi chiński egzamin, przynoszący tytuł „dojrzałego męża“. By go zdać, trzeba odpowiedzieć na każde pytanie, jakie zadadzą egzaminatorowie, a trzeba wiedzieć, że niema wcale żadnej instrukcyi, któraby normowała zakres wymaganych wiadomości. Egzamin trwa cały tydzień, kandydat pozostaje przez cały ten czas pod ścisłym dozorem, przedtem zaś musi złożyć przysięgę, że w niczem nie naruszy przepisów i postępować będzie z godnością. Za próbę zjednania sobie profesora w jakikolwiek sposób (tak zwany u nas popularnie „kuban“) podlegają natychmiast karze śmierci.

Kto zdał egzamin drugi, ten może przystąpić do trzeciego. Odbywa się on w Pekinie przed komisyą, złożoną z najwybitniejszych profesorów i uczonych. Kandydaci, którzy odpowiedzieli warunkom, zaliczeni zostają w poczet członków Akademii, otrzymują stałą pensyę rządową, przedstawia się ich regentowi, za powrotem zaś do rodzinnego miasta witają ich współobywatele przemowami, festynami, urządzają na ich cześć dzień kwiatka i t. d. Taki pan ma już zapewnioną popularność i sławę do końca życia, a nawet i po śmierci.

Ale tak dzieje się w Chinach, nie zaś w cywilizowanej Europie. Gdyby tak u nas zaprowadzono te chińskie zwyczaje, już przy pierwszym egzaminie odpadłaby większość kandydatów, resztę ukaranoby śmiercią przy drugim, do trzeciego wobec tego niktby się już nie zgłosił. Lecz u nas do tego nie przyjdzie, nauka bowiem i sztuka poniosłyby w ten sposób niepowetowaną szkodę, a uniwersytety musiałoby się chyba zamknąć.

Wiem, że dzięki tej kronice nigdy nie zostanę zaliczonym do grona naszych nieśmiertelnych. Zrezygnowałem już dawno z tego zaszczytu, przekonawszy się, że nie posiadam do tego warunków, jakich się u nas od kandydatów wymaga. W Chinach natomiast mógłbym się ubiegać o godność i pensyę uczonego i kto wie, czy po wojnie tem się nie zajmę, zrywając z niewdzięczną Europą, która w żaden sposób nie chce się na mnie poznać. Na razie zajęty przecież jestem tem, czy „Deutschland“ wróci cało do Europy, a „Bremen“ dostanie się do Ameryki, założyłem się nawet o to z jednym znajomym. Ja twierdzę, że tak, zaryzykowałem nawet dwie bomby. Zakład powinien być w najkrótszym czasie rozstrzygniętym, chyba że tymczasem spełni się przepowiednia owego jegomości z Brzeźnicy, który twierdzi, że wojna musi się już skończyć, gdyż grusze i jabłonie pokryły się po raz drugi w tym roku świeżem kwieciem.

Czy się spełni przepowiednia, nie wiem, gdyby przecież tak się stać miało, zakład byłby bezprzedmiotowym. Ale owe kwitnące drzewa niczego nie dowodzą, to samo dzieje się co roku, nawet wtedy, kiedy wojny niema. Ważniejsza okoliczność, że w Temeszwarze z kaczych jaj wylęgły się bociany! To zdarzenie może mieć nieobliczalne następstwa, chyba, że to były jaja kaczki dziennikarskiej, która niesie się właśnie w okresie kanikularnym.

Co jednak znaczy przypuszczenie oparte na zwykłym objawie, znanym ogrodnikom, (mam na myśli naturalnie owe kwitnące w Brzeźnicy jabłonie i grusze) wobec wyraźnej zapowiedzi polityka tej miary, co pan Venizelos, który wobec interwiewujących go dziennikarzy wyraził się, że „wojna potrwa jeszcze długo, bardzo długo“.

Swoją drogą przepowiednie o długiem jeszcze trwaniu wychodzą przeważnie z szeregów wróżbiarzy koalicyi lub jej sympatyków (wyjątek pani de Thèbes), ale też trzeba przyznać, że koalicya patrzy też bardzo poważnie w przyszłość. Wnoszę to z okoliczności, iż już dziś łamią sobie francuscy i angielscy społecznicy nad tem głowy, jak zapobiedz wyludnieniu kraju po wojnie.

We Francyi postawiono wniosek, aby małżeństwa, które wykażą się odpowiednią progeniturą, otrzymywały specyalne premie, które są coraz wyższe, w miarę tego, jak rośnie liczba potomstwa. Oprócz tego ma się szczególniej zasłużonym przyznawać medale i listy pochwalne. Zupełnie tak samo dzieje się i w Anglii. Czytamy w codziennych pismach, iż przed kilku dniami przybyła do ministra Longa deputacya narodowej Rady dla publicznej moralności, domagając się poczynienia przez rząd stanowczych kroków, któreby zapobiegły wzrastającemu stale spadkowi urodzin. Domagano się przedewszystkiem zakazu sprzedaży środków, chroniących przed urodzinami, ułatwień podatkowych dla małżeństw, posiadających potomstwo, dania dzieciom prawa samodzielnego decydowania w czternastym roku życia, czy chcą się dalej kształcić, czy też pragną się poświęcić jakiemu zawodowi, wreszcie opodatkowania bezwzględnego wszystkich kawalerów i panien, liczących ponad trzydzieści pięć lat życia, a nie mogących się wykazać potomstwem, wreszcie przymusowego rozwodu małżeństw, które po sześciu latach nie mają dzieci.

Propozycye Rady narodowej bardzo mi się podobają z wyjątkiem owej, która daje dzieciom w czternastym roku życia prawo samodzielnego rozstrzygania o swym przyszłym losie. Dziecko nie posiada wówczas odpowiedniej dozy rozumu. Od tego są rodzice i nauczyciele i oni powinni decydować, czy ten lub ów nadaje się do uczęszczania dalej do szkoły, czy też powinien się poświęcić zawodowi praktycznemu. Wątpię, czy przyjmie się też i podatek starokawalerski i staropanieński.

No, ale zobaczymy!

Zagadki do nagrody.

Przysłowiówka.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z każdego przysłowia wyjąć, idąc pięć razy z góry na dół, po jednej literze i ułożyć z nich znane polskie przysłowie.

1. Nie ciąg psa za ogon, to cię nie ukąsi.
2. Nie święci garnki lepią.
3. Nie dla psa kiełbasa
4. Nie graj Wojtek, nie przegrasz portek.
5. Nie wychylaj butelki do dna, bo poruszysz męty
6. Niejeden wygrzewa się w cieniu wielkich ludzi.
7. Nie utyje, kto nadzieją samą żyje

Zadanie do przestawienia.
Ułożył S Jeloncza, Wola Justowska.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Stoicy! Cło z wiśni oswoi łęs Zet E

Trójkąt magiczny.
Ułożył E Winter, Stanisławów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy imię i nazwisko jednego z najpopularniejszych polskich kompozytorów.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz 2. Imię i nazwisko polskiego liryka. 3 Nazwisko i imię polskiego malarza. 4 Motyl 5. Rzemieślnicy. 6 Rodzaj roślin strączkowych 7. Nazwisko i pierwsza litera imienia polskiej poetki. 8. Wstrzemięźliwość 9 Imię żeńskie. 10 Nieprzyjaciel ludzi. 11 Żołnierz, pełniący służbę u oficera 12 Utwór muzyczny. 13 Miasto na Syberyi 14 Osłona lampy. 15. Ptak drapieżny 16. Przyjaciel Mickiewicza 17 Przysłówek. 18. Samogłoska.

Łamigłówka literacka.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Znaleźć nazwiska autorów wyszczególnionych dzieł. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko poety i krytyka polskiego.

My?
Ogień?
Grunwaldzki bój?
Kobieta morska?
Panterka?
Nora?
Nina?
Wrzos?
Nana?
Próchno?
Śmierć?
Chsm?
Jaskółka?
Pączek róży?
Rycerz północy?
Rokita?
Skarb?
Jestem?
Wróg ludu?

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Bierze oś muchy, by zgubił Ech, ne!

Logogryf.
Ułożył S. Jeloncza, Wola Justowska.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwę starożytnego miasta francuskiego.

□ □ □ □ □ □
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Imię żeńskie. 3. Boginie greckie 4 Inaczej szyderstwo. 5 Wzorzysta tkanina, służąca za nakrycie 6 Imię męskie, znane z Biblii.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

G. dał na jego grobie ich lód.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Za szałasem pani uczę pannę Hipo.

Bilety wizytowe.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

CEZARY TOL

IWO RUTZ

MARTIN SINT.

SITOLSKA.

LENART TAPS

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 29.

Zadanie do przestawienia: Jak kto na śmierć chory, na nic mu i doktory.

Trójkąt magiczny:

J a n C z e c z e t
A k w a d u k t y
N u m i z m a t
C e t y n i a
Z a i m e k
E u b e a
C h a m
Z a n
O n
T

Przysłowiówka: Bywał Janek u dworu, wie, jak w piecu palą.

Grzebieniówka:

T a d e u s z K o r p a l
r e k r c e e
u s w i z t s
f z i n l ö z
l c a y i f c
a z ł i k i z

Okienko:

R a w e n n a
a k m
w s e
e k s p o r t
n o y
n r s
a m e t y s t

Zadanie do przestawienia: Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Kwadrat magiczny:

S c h i l l e r
C e l t o w i e
H a n n i b a l
I n ż y n i e r
L e n i w i e c
L e w k o n i a
E l e o n o r a
R o s i e n i e

Kwadrat magiczny:

P r u s
R y g a
U g o r
S a r a

Okienko:

P o r t o
o u t
r u s z t
t z o
o t t o n

Bilety wizytowe: Poszukiwacz. Kaznodzieja Terminator Pisarz gminny. Dywizyoner

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M Sokołowska Kraków. S. Karwowski Gniezno. H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bermatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim, S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, K. Borowiecki Lwów. M Golska Wiedeń. M Raczyńska Lwów, S. Zaleski Czerniowce, W. Nowiński Tarnów, R Wójcik Przemyśl, Z Małecki Lwów, M. Birkenmajer Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Stępień Budapeszt.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Komenda placu Legionów polskich we Wiedniu (X Laimäckergasse 17) prosi Rodaków o nadsyłanie na jej ręce książek polskich, o ile możności treści beletrystycznej, dla naszych bohaterskich Legionistów, rannych w ostatnich walkach, a przebywających obecnie w wiedeńskich szpitalach

Kącik humorystyczny.

Co lepsze.

Mąż: Gdzie ty idziesz?
Żona: Artur prosił mnie o rendez-vous.
Mąż: Dzięki Bogu! Bo ja już myślałem, że idziesz do krawcowej.

U piekarza.

Gość: Bój się pan Boga, taż te bułki są takie małe, że ich nie widać prawie.
Piekarz: I warto się to pani o taką drobnostkę irytować?...

Z dyskursów domowych.

Żona (z wyrzutem): Jako narzeczony byłeś o wiele czulszym dla mnie...
Mąż (wzdychając): Masz słuszność, moja droga! Jakby to pięknie było, gdybym był zawsze twoim narzeczonym!...

Dobra definicya małżeństwa.

Ojciec, przysłuchuje się rozmowie dzieci, które bawią się w małżeństwo:

— Powiedz-no mi, Andziu, a czy ty wiesz, co to jest właściwie małżeństwo?

5-ci oletnia Andzia: A wiem! Małżeństwo, proszę taty, to znaczy, że mąż musi to zjeść, co mu żona usmaży...

Przy egzaminie.

Profesor: — Co kandydat wie o Karolu IV? Proszę mi wszystko opowiedzieć, ale możliwie jak najkrócej...
Kandydat: — Urodził się, wychował, zakochał, zaręczył, ożenił i umarł...

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego